N. 4. WARSZAWA d. 15 (27) Stycznia 1872 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PARYŻ W AMERYCE

DZIEŁO

EDWARDA LABOULAYE'A

PRZEJRZANE

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dokończenie).

Po pełnych ognia dysputach o prasie i wstrząsających wrażeniach wyborów, następuje święta cisza niedzielna. Wiadomo powszechnie, że narody protestanckie, których postępowaniu w każdéj porze życia przewodniczy Biblija, obchodzą dzień ten na sposób biblijny. W niedzielę nie tylko oddawanie się pracy jest wzbronionem, ale nawet gwarne i nużące umysł rozrywki, uchodzą za rzeczy świętokradzkie i ubliżające powadze Sabatu. Doktór Schmidt za nadejściem dnia świątecznego, ogląda się w koło szukając na sposób paryzki teatru, muzyki, balów, a gdy nie znajdując tego wszystkiego zmuszony jest poprzestać na cichem kółku rodzinnem, odzywa się z goryczą, w któréj jednak znać już nieco amerykańskiego neofitę.

— O Francuzi, o narodzie przyjemny i rycerski, pozostaw grubijańskim narodom chwałę zajmowania się gorączkowym przemysłem i pielęgnowania utrudzającéj wolności! Daleko od siebie odrzuć to marzycielstwo, któreby mogło doprowadzić cię do współzawodniczenia w wielkości z Anglją i Ameryką! Miłośniku wina, sławy i piękności, twój los jest najlepszym. Pozwól dochodzić do panowania nad światem tym bladym pracownikom, którzy pojmują życie na serjo, a sam zachowaj jak najdłużéj twą niepoprawną prześliczną płochość. Baw się narodzie francuzów, wojuj i całuj, zapomnij o świecie i nie myśl o niczem, bo.. gdybyś zaczął rozmyślać nie długo byś się weselił!"

Przyznać trzeba, że trudno o bardziéj głęboką i wytworną, bolesną a zarazem komiczną ironję.

W niedzielny poranek doktór Schmidt zamyśla iść do kościoła. W niemałym jednak znajduje się kłopocie, bo wyszedłszy na ulicę spostrzega tak wiele kościołów rozmaitych wyznań i sekt, że sam nie wie gdzie ma szukać tego, w którym by się chciał modlić. Oburza go ta tolerancja pozwalająca na egzystencją obok siebie tylu najróżnorodniejszych świątyń, i swoim zwyczajem poczyna na nią narzekać.

I nie wiadomo jak długo odmawiałby tę litanję złorzeczeń, gdyby mu był murzyn nie przerwał oznajmieniem, iż żona jego oddawna udała się już do kościoła episkopalnego, a córka do świątyni prezbyteryjanów, Henryk zaś znajduje się u Babtystów, służąca Marta u Dunkerjanów a on, murzyu wybiera się do metodystów.

Pan Schmidt w rozpaczy!

— Mój dom, woła, przybytek mego rodzinnego ogniska, jest wieżą Babel, schronieniem wszystkich możebnych herezji! Mąż katolik, żona anglikanka, córka prezbyteryjanka, syn baptysta, służąca kwakierka, lokaj metodysta, o chaosie! o anarchjo! A jednak rzecz dziwna! Mimo herezji i anarchji, żona kocha mię czule, dzieci są najlepszemi dziećmi, służy najwierniejszymi sługami, w około siebie widzę same pogodne i poczciwe twarze. Każdy czyta Biblję po swojemu, a jednak nikt się nie kłóci, nigdzie nie ma nieporozumień, lecz wszędzie miłość i zgoda. Była to zagadka na któréj rozwiązanie daremnie silił się mój rozum."

Tak rozmyślając przypomina sobie, że w kościele kongregacjonalistów dnia tego ma kazać znajomy mu młody pastor. Zatrzymuje się więc i zapytuje o drogę do kościoła tego, spotkaną a nieznajomą kobietę.

— To dość odlegle, odpowiada zapytana, ale stosując się do moich wskazówek, łatwo trafisz do celu. Nie zważaj na kościoły będące po lewéj stronie ulicy, bo ten o który pytasz znajduje się po prawéj. Rachuj tylko po drodze dzwonnice a nie omylisz się. I tak, pierwszy kościół koło którego przechodzić będziesz jest katolicki, drugi Urszulinek także katolicki, trzeci kościół episkopalnych, czwarty Kapucynów, piąty baptystów, szósty Holendrów reformowanych, siódmy luteranów, ósmy murzynów metodystów, dziewiąty synagoga żydowska, dziesiąty świątynia Chińska. Za świątynią Chińczyków znajdują się memnonici, za memnonitami reformowani niemcy; za niemcami kwakrowie, za kwakrami prezbyteryjanie, za prezbyteryjanami Morawczycy, za morawczykami metodyści biali, za białymi metodystami unitarjusze, za unitarjuszami dunkeryjanie. Daléj już miniesz tylko cztery kościoły: Doskonałych Chrześcjan, wolnych Chrześcjan, Swedenborzystów i Uniwersalistów, a dwudziestym czwartym z rzędu kościołem będzie ten o który zapytujesz kongregac jonalistów."

Wyrecytowawszy tę litanją kobieta odeszła a doktór Schmidt załamał ręce i zawołał: Wielki Boże! sądzę, że gdyby sam diabeł zgubił kiedy swoją religię odnalazłby ją na téj ulicy! Ministerjum wyznań ma tu porządnie do roboty! A jednak rzecz dziwna, wszystkie te kościoły stoją obok siebie i wszyscy ci ludzie żyją z sobą w zgodzie, i ani myślą prześladować siebie wzajem z powodu wiar wyznawanych!"

Zdjęty ciekawością wstępuje po drodze do rozmaitych świątyń, przypatruje się odprawianiu różnych nabożeństw, słucha rozmaitych kazań, nie omija nawet pagody chińskiéj i stacza w niéj walną dyskusję z kapłanem Buddy. Stara się z całych sił upierać przy swojem i trwać w powziętym od dzieciństwa duchu nietolerancji, ale stopniowo duch ten w nim słabnie. Przekonywa się ze zdziwieniem, że wszędzie jednego Boga chwalą, zachwyca się gorącem

nabożeństwem murzynów metodystów, mowa pastora kongregocjonalisty łzy mu wyciska z oczów, aż nakoniec po skończeniu tych wszystkich nabożeństw assystuje na zgromadzeniu duchownych różnych wyznań i ze zdumieniem spogląda, jak ludzie, którzy przed godziną każdy innéj przewodniczyli trzodzie, podają sobie ręce z sympatją i uznaniem. W długich a ożywionych z duchownemi dyskursach dowiaduje się, że ministerstwo wyznań nie egzystuje wcale w St. Zjednoczonych; że nie ma tam panującéj religji; że żadne wyznanie nie cięży na budżecie państwa, ale każdy kościół utrzymywany jest przez dobrowolne dary wiernych, i każdy kapłan czerpie swój byt z pobożności i przywiązania doń tych ostatnich.

Opowiadają mu przy tem amerykańscy duchowni, że każdy z nich stara się tylko swe własne obowiązki, wypełniać nie wtrącając się w dziedzinę obowiązków i sumienia kapłanów innego wyznania lub innéj sekty; że wspólnie wyznają wszyscy, iż poczciwy i oświecony człowiek, w każdéj religji zbawionym być może. Doktór Schmidt słucha tego wszystkiego naprzód z oburzeniem, potem już tylko ze zdumieniem, potem jeszcze z wahaniem się. W dyspucie jego argumenta coraz słabsze, bo i w przekonaniach coraz większa odbywa się zmiana; opuszcza nakoniec zgromadzenie duchownych, nie mogąc mimo usiłowań jakie czyni, obronić się od uznania słusznem i pięknem wszystkiego co widział i co słyszał. Wszakże walcząc tak z sobą i rozmyślając, raz jeszcze przesyła Francji tęskne wspomnienie:

— O! jakże mówi, nudni są tu ci ludzie myśli. Rzekłbyś, że to są woły założone do młyńskiego koła i ciągle po jednéj depcący drodze! Cała godzina rozmowy o polityce i religji, to nadto dla Francuza; któż tu pomówi ze mną o czemś rozumnem i przyjemnem, o operze naprzykład, malarstwie, muzyce albo wojnie!

Jest to już jednak ostatnie westchnienie przesłane przez Dra. Schmidta nieobecnéj ojczyźnie. Im dłużéj żyje on w kraju do którego przeniosła go podstępna moc czarodzieja, tem więcéj i głębiéj przenika go tchnienie tego kraju. Pod wpływem gorącego życia Amerykanów, stare przesądy i usługi opadają zeń jak zwiędłe liście z rośliny; Ameryka podbija go całkiem. Tu znajduje pokój domowy i szczęście małżeńskie, którego wprzódy nie doświadczał nigdy; tu widzi szerokie drogi dostatków i zaszczytnéj pracy otwarte przed jego synem; tu córka jego dojrzewa w jego oczach na kobietę rozumną, użyteczną i zacną obywatelkę swego kraju; tu otaczają go przyjaciele nieobłudni i słudzy pełni wierności; tu prawo strzeże jego osobistych swobód, a obyczaj słodkim spokojem każdy dzień mu napełnia. Doktór Schmidt zwiedza jeszcze szkoły amerykańskie w których młodzież obojga płci razem się kształci, podziwia w tem zmieszaniu dziewcząt i chłopców skromność pierwszych i uszanowanie względem płci słabszéj drugich; słyszy kobiety przemawiające z katedry: widzi własną córkę dającą w niedzielnéj szkółce lekcje matematyki i moralności dzieciom, które ją ubóstwiają; zwiedza szpitale będące prawdziwemi przybytkami chrześcijańskiego miłosierdzia, podtrzymywanemi umiejętnem a pełnem miłości dla bliźnich staraniem publicznem, i stopniowo coraz więcéj a więcéj nie tylko oswaja się z tym nowym porządkiem rzeczy, ale tak się do niego przywiązuje, że zdaje mu się jakoby się zrodził wśród niego, i jakoby inna egzystencja jak ta co wiódł w St. Zjednoczonych, była mu całkiem niepodobną.

Nagle budzi się.... budzi się w Europie, we Francji, w Paryżu, pośród dawnych obyczajów i dawnéj rodziny. Cały pobyt w Ameryce był tylko długim snem, tak błogim już przy końcu i tak niemile przerwanym wtedy, gdy pogrążał śpiącego w cały świat rozkosznych marzeń. Widząc się znowu otoczonym tem wszystkiem o czem przekonał się, że było złem lub niegodnem dla wolnéj i szlachetnéj natury człowieka, doktór Schmidt nie może ukryć smutku jaki wzbudzają w nim otaczające go no nowo obrazy, i żalu poczuwanego za wszystkiem, do czego już był przyrósł i przywiązał się najlepszą częścią swéj istoty. W rozmowach tedy z rodziną i z odwiedzającemi go osobami, wspomina ciągle mniemany pobyt swój w St. Zjednoczonych, o którym pewnym jest że był prawdą.

Wypowiada wszystkie swe tam powzięte przekonania, pragnie byt swój rodzinny i towarzyski a także cały skład społeczeństwa ojczystego, dostroić do téj wysokiéj i szerokiéj skali, jaka powstała w jego własnym umyśle, przez napatrzenie się na rozumne i dobroczynne instytucje, a także pełne cnót obyczaje amerykańskiego ludy. Najbliżéj naturalnie dotykają go sprawy rodzinne a te w zupełnéj stoją sprzeczności z tem, co go zrazu dziwiło i raziło, późniéj zaś zachwycało aż nakoniec całkiem podbiło i przywiązało w amerykańskiéj jego rodzinie. Autor książki z niezmiernym talentem zestawienia kontrastów, kreśli obraz uczuć i usposobień rodziny odnalezionéj w Paryżu przez głęboko zasmuconego doktora. A naprzód żona jego jest światową kobietą lubiącą bawić się i błyszczeć, niewolniczo posłuszną wszelkim przyjętym wyobrażeniom, a domowe obowiązki spełniającą z chłodem i przymusem. Córka przy najmniejszéj sposobności, spuszcza wciąż oczy i bezmyślnie powtarza za matką wszystko co téj podoba się powiedzieć. Jest to istota pozbawiona woli samopoznania i samowiedzy, sztuczny wykwit zamknięcia, ustawicznego skrępowania,najfałszywszych zasad rządzących wychowaniem młodych panien. Lefebvre martwi się widokiem córki i na każdym kroku sprzecza się z żoną, któréj amerykańskie zdania jego wydają się potwornością godną co najwięcéj dzikiego indyjskiego plemienia Irokezów. Ale syn? Na widok jego, przy rozmowie z nim smutek Lefebvra i trwoga jego o losy tak upośledzonéj na woli i rozumie rodziny, zdwaja się i przechodzi w żal najgłębszy. Uczucia swoje opowiada on w następny sposób.

Henryk wszedł do pokoju i zbliżywszy się złożył na méj twarzy nieśmiały pocałunek. Patrzyłem na mego syna i zaledwie poznać go mogłem. Nie był to już mój śmiały i dzielny młody obywatel, gotów zawsze jechać do Indyi lub w obronie kraju stanąć z orężem w ręku, ale był to ładny mały chłopiec wyglądający jak lalka. Włosy rozdzielone miał na środku głowy jak kobieta, przydawszy do tego haftowaną koszulę, wyłożony kołnierz i krawat z kolorowéj wstążki, mógłbyś go wziąść za dziewczynę w surducie. Cała osoba jego odznaczała się czemś wdzięcznem, słabowitem i niedbałem.

— Zkąd przychodzisz mój ukochany? zapytała go matka.

— Od fryzjera mamo, odpowiedział.

— Od fryzjera? Syn mój od fryzjera przychodzi! pomyślałem i przypatrywałem się mu z ciekawością.

— Byłeś dziś w ujeżdżalni? ciągnęła Joanna.

— Tak mamo i w sali fechtunków także.

— Bardzo dobrze, ozwałem się, pochwalam te ćwiczenia męzkie. Trzeba aby młody chłopiec jeździł konno, pływał, boksował się, fechtował się i władał bronią palną. Trzeba aby człowiek cywilizowany walczył nieustannie z miękością życia, która mu hart odbiera, ale nie na tem kończy się wszystko, mój Henryku. Trzeba jeszcze obrać sobie pewien stan, zajęcie. Masz szesnaście lat, jesteś już człowiekiem, cóż więc zamierzasz uczynić, jaki zawód myślisz? wybrać dla siebie?

— Jaki ci się podoba papo, odpowiedział mój syn garnąc się do matki, która patrzyła nań z uśmiechem jakby powiedzieć chciała: „Cierpliwości moje dziecię. Ojciec twój nie jest dziś przy zdrowych zmysłach!"

— Nie masz więc żadnych wyłącznych upodobań? Nie czujesz szczególnego ku czemuś powołania? pytałem daléj syna.

— Nie papo, odpowiedział, wszystko to do ciebie tylko należy. Co do mnie, bylebym tylko mógł pozostać w Paryżu, jeździć konno i bawić się z memi przyjaciołmi, wszystko mi zresztą jedno.

— Bawić się! zawołałem, i któż cię natchnął podobnemi zasadami? Człowiek moje dziecko, nie dla saméj tylko zabawy żyje na świecie! Praca jest zarówno rozkazem Bożym jak hamulcem dla naszych namiętności, chwałą szczęściem naszego życia.

— Danielu, ozwała się Joanna z widoczną niecierpliwością, po cóż dręczysz to biedne dziecię? Zaczekaj trochę, syn nasz zrobi to co robią inni.

— Co znaczy że nic robić nie będzie!

— Otrzyma posadę...

— Tak myślałem, zawołałem zgorszony macierzyńską słabością mojéj żony, a więc syn mój będzie służalcem...

— Wszyscy czynią tak teraz, odparła Joanna, pokaż mi choć jednego młodzieńca dobrego rodu, któryby czynił inaczéj? Po co się wyszczególniać od innych!

Zwróciłem się znowu do Henryka.

— Jakto, rzekłem, czyliżbyś nie wolał zostać twórcą własnego bytu i zawdzięczać położenie swe w świecie pracy swéj tylko i zdolnościom? Czyliż niezależność nie ma dla ciebie powabu? Nie chciałżebyś zostać adwokatem, doktorem, przemysłowcem..

— Dla czegóż jeszcze nie rozkażesz mu stać się handlarzem? Z przekąsem dodała Joanna.

— Tak moja pani, odpowiedziałem, trudnić się handlem dla swéj własnéj korzyści to według wyobrażeń twoich hańba i wstyd, ale starać się o posadę, prosić, błagać, kłaniać się, pochlebiać ludziom niegodnym to szlachetnie i chwalebnie!

— Wszyscy czynią tak dzisiaj! odparła moja żona, wyobrażasz więc sobie, że jesteś mędrszym i cnotliwszym od wszystkich?

Na tem się kończy rozmowa pomiędzy ojcem, matką a synem. Uwydatniają się w niéj wady toczące i podkopujące niejedno społeczeństwo a mianowicie miękość, niechęć do pracy, rozmiłowanie w pustych zabawach, zupełne niepojęcie obowiązków społecznych młodych mężczyzn, a ślepe naśladownictwo obyczaju powszechnego, choćby najszkodliwszego najmniéj ugruntowanego, i chorobliwa czułość objawiająca się samą tylko bezmyślną pieszczotą matek rodziców. Iluż młodzieńców naszych i ileż naszych kobiet czytając ten ustęp zawołać by mogło: „to ja! to mój portret!!! Następują odwiedziny znajomych pana Lefebvre, doktorów, adwokatów, wojskowych. On opowiada im swe widzenie i pragnie wpoić w nich wiarę w to co sam tak gorąco uwierzył, oni uśmiechają się z razu lekceważąco i pogardliwie, potem starają się go nawrócić do zasad jakiemi sami się rządzą, a gdy się to im nie udaje, gdy Lefebvre coraz goręcéj broni prawd uważanych przez nich za niedorzeczność, utwierdzają się w przekonaniu, że jest szaleńcem który postradał zmysły. Mniemanie to pierwszy wypowiada doktór następującemi słowy.

— Panie, rzekł do mnie Olibrint powstając z miejsca i prostując się majestatycznie; pozwól abym w kilku słowach streścił naszą rozmowę. Wypowiedziane tu zdania twoich znajomych i przyjaciół, tak sprzeczne z twemi a tak pełne zdrowego rozsądku, powinny cię były przekonać o smutnéj prawdzie, że umysł twój popadł w stan chorobliwy. Opowiadasz nam o społeczeństwie pozbawionem centralizacji,

wojsk, policji a obdarzonem natomiast barbarzyńską swobodą modlenia się, myślenia i działania wedle woli i usposobień każdego. Przyznaj, że obraz taki może być tylko jednym z tych obrzydliwych koszmarów, które dręczą ludzi zostających pod wpływem zażytego opjum. System państwowy o jakim marzysz nie mógłby trwać i kwadransa, jest on żywem zaprzeczeniem wszystkich zasad i warunków na jakich ukształtowała się cywilizacja, tworząca spójnią naszéj wielkiéj ojczyzny. Mądrość ojców naszych ustanawiając administrację hierarchiczną i z centralizowaną, nauczyła nas od dawna, że wolność zawiera się w posłuszeństwie; nie zapominaj o tem kochany kolego i staraj się odzyskać zdrowie twego umysłu. Anarchiczne pojęcia sprawiające zamęt w twym mózgowym ustroju powinny przekonać cię dostatecznie, że jesteś chorym i tem więcéj chorym im mniéj poczuwasz się do tego. Powinieneś rozpocząć natychmiast energiczną kuracją a nawet śmiem twierdzić, że tylko środki lekarskie bardzo silne zdołają przywrócić ci przytomność umysłu i spokój który utraciłeś.

Tak więc biedny Lefebvre pada ofiarą swych nowo nabytych przekonań, których zaprzeć się nie chce i nieodwołalnie uznanym zostaje za warjata. Podstępem wyprowadzają go z domu. Sądząc że udaje się na plac pojedynku, przed odejściem żegna dzieci swe następnemi słowami.

— Bądź zdrów, mój Henryku, mówi do syna zachowaj w pamięci rady jakie ci daję. Nie uczyniono nic aby stworzyć w tobie silną wolę a jest to bardzo wielkiem nieszczęściem. Namiętności zabierają w duszy naszéj całą przestrzeń w któréj nie przemieszkuje wola. Staraj się więc o własnych siłach zdobyć sobie przekonania dobrze wyrozumowane i energją charakteru; przekonania bowiem tylko i energia tworzą prawdziwego człowieka. Nie uchylaj głowy przed nikim i ze spokojem patrz w twą przyszłość. Blask i świetności światowe nie stanowią szczęścia, znaleść je raczéj można w cichéj pogodzie nieskazitelnego sumienia, a prawdziwa wielkość znajduje najwznioślejszy swój wyraz w człowieku, który wzniósł się własną pracą i cnotą.

I ty także córko moja bądź zdrową. Wybieraj sama przyszłego twego męża. Nie uważaj na pozycje ani pieniądze, ale szukaj serca. Jest ono jedynem bogactwem którego zmiany czasu lub losu naruszyć nie mogą. Wybierz sobie na towarzysza życia człowieka takiego, któregobyś mogła szanować i któryby miał wspólne z tobą pojęcia. Miłość ostyga z czasem, ale ufność i szacunek zostaje na zawsze przy ognisku domowem, a gdy nadejdzie wieczór życia, stają się czemś słodszem może jeszcze i zdrowszem, niż sama miłość. Jeżeli będziesz miała dzieci, pozwól młodym ich duszom rozwijać się swobodnie a nie nauczaj je nigdy téj okrutnéj mądrości, która każe widzieć wszystko w osobistéj korzyści. Niech marzą one jak marzył dziad ich chociażby równie jak on cierpieć miały, bo na tym świecie najnieszczęśliwszymi nie są ci którzy płaczą.

Po takim pożegnaniu z rodziną, Lefebvre opuszcza dom swój sądząc, że udaje się na plac pojedynku wypowiedzianego mu przez doktora Olybriusa, któremu wyrzucał pychę, nicość i służalstwo. Zamiast tego jednak przywożą go do domu obłąkanych i zamykają jako warjata. W więzieniu tem Lefebvre snuje nić smutnych lecz łagodnych rozmyślań, które są niejako streszczeniem poczuć duszy zacnéj dręczonéj w imię tego, co uznała za prawdę a śród udręczeń najsroższych, pozostającéj wierną sobie i nie mogącéj zaprzeć się saméj siebie. Ostatni ten rozdział książki jakkolwiek krótki, jest może najpiękniejszym ze wszystkich.

Los mój stał się nieodwołalnym, pisze Lefebvre, rozpocząłem niebezpieczną grę z przesądem i.... przegrałem. Gromada głupców ogłosiła mię warjatem, fałszywi przyjaciele z radością potwierdzili wyrok wydany przez głupotę. Oto jestem ubezwładnionym na zawsze. Mogęż przeto zagasić w umyśle moim płomień który go oświeca? Mogęż zaprzeć się prawdy? Nie! pojąłem prawdziwe dobro, usta me dotknęły upajającéj téj czary, dojrzałem oblicze wiekuistego ideału i jeżeli jestem szalonym, wyleczyć się nie chcę.

Postępujcie daléj drogą waszą szczęśliwe barany! Milcząc szukajcie dla siebie żeru, a becząc jak najgłośniéj powtarzajcie sobie wzajem, żeście królami świata! Bawcie się, używajcie życia. Szaleńcy są ubezwładnieni a człowiek rozsądny tem jest mądrzejszym, im lepiéj się bawi!

Co do mnie, nie wrócę już nigdy na łono społeczeństwa, które lęka się prawdy i którego członkowie wpadają do klatek zwabieni błyskotką jak szczygły zwierciadłem. W samotności żyć będę wspierany wzniosłą nauką Ewangelji, otoczony wiernymi przyjaciółmi którzy nie kłamią nigdy. Wy Sokratesie, Demostenesie, Cyceronie, Cerwantesie, Miltonie, wami także o wieszcze, mówcy, obywatele, świat pogardzał i poniewierał! Ludzie złorzeczyli wam, ubezwładniali was i udręczali szaleńcy i buntownicy za życia, po śmierci dopiero stanęliście w obec świata przyobleczeni godnością mędrców i rycerzy.

Co ranek pośród ciszy biednej mojéj celi, staje przede mną widzenie które mię pociesza. Spostrzegam w oddali szczyty promienne, oblane światłem wschodzącéj jutrzenki, jutrzenki dnia którego nie ujrzą już oczy może moje....

Mniejsza o to. Widzę ten szlak słoneczny płynący po firmamencie i roztrącający ciemności które konają. To nowe Jeruzalem! to gród przyszłości!

Tam wszysko w nowe przyodziało się szaty; ostatki pogaństwa zniknęły„ jednostka odzyskała swą godność.

Prawda i sprawiedliwość jaśnieją na tem niebie nowem jak gwiazdy spokojne; w obec nich zagasły ponure plagi ludzkości: przemoc, intryga, kłamstwo.

Takiemi są sny moje...,

Śmiem mieć nadzieję.., wszak jestem szaleńcem! Gdybym miał mądrość czaru, czyniłbym jak czynią zręczni, przestałbym być sobą samym, zrosłbym z motłochem. Ale ja nie chcę tak smutnych radości, wolę nieszczęście moje wraz z memi snami!

Któż wie? Godzina moja uderzy może kiedyś! Jeśli nie jestem wielkim mężem, sprawa którą pragnąłem bronić jest wielką. Kto wie czy lud mój znudzony błachościami które zeń wysysają siły, nie przebaczy mi kiedy goryczy méj i szczerości? Co gorzkiem wydaje się podniebieniu, słodkiem jest dla serca, powiada przysłowie; to samo dzieje się z prawdą. Zdrową jest ona jak woń traw i borów, jak wicher lecący nad źwierciadłami mórz i lodowisk; ktokolwiek raz odetchnął tem tchnieniem ożywczem, temu już nie żyć śród nizkich bagien, ni błotnistych topieli!

Przegląd literacki.

Wieczory Czwartkowe. Opowiadanie o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych młodocianemu wiekowi poświęcone, przez starego przyjaciela dzieci. Z 30 drzeworytami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa 1871 r. str. 448 wraz ze spisem rzeczy.

Przy rozwijającem się peryodycznem piśmiennictwie trudno o książki nowe, a trudniéj jeszcze o książki poważne, ale najtrudniéj o podręczniki naukowe, któreby popularyzując różne gałęzie wiedzy ludzkiéj czyniły ją przystępną nawet dla tych co, albo wcale szkół nie kończyli, albo skończywszy niewielką korzyść z nich wynieśli.

Do szczęśliwie pomyślanych wydawnictw pp. Gebethnera i Wolfa zaliczamy więc: *Wieczory Czwartkowe*, gdyż treścią swoją, a w części i formą odpowiadają one naglącym potrzebom naszego społeczeństwa, a dają więcéj, niżby się po skromnym ich tytulo spodziewać było można.

O ile autor *wieczorów* korzystał z podobnego rodzaju dziełek, w które obfituje mianowicie literatura niemiecka, nie wchodzimy, gdyż to rzecz podrzędna, główna zaś, że obdarzył nas książką pożyteczną, umiejętnie opracowaną i godną jak największego rozpowszechnienia.

Nie jest to księga poświęcona pożytecznéj zabawie, ale też ścisle naukową nazwać jej nie można. Autor bowiem nie trzyma się żadnego systematu, lecz opisując najważniejsze wynalazki i zastosowania ich do życia praktycznego, przytacza i objaśnia z najnowszego punktu zapatrywania się ważniejsze prawdy zdobyte w dziedzinie fizyki. Zamierzywszy, na przykład, prawić młodym swoim słuchaczom o machinach parowych, wspomina o barometrze, termometrze, parze wodnéj, powietrzu itp. Mówiąc o piorunach przytacza prawa elektryczności statycznéj; objaśniając telegrafy, uczy praw elektryczności dynamicznéj; mówiąc o galwanoplastyce, potrąca o chemizm; tłomacząc, co to jest fotografia, wylicza własności światła i znów dotyka chemii.

Tym sposobem, chociaż nie kolejno i bez naukowego usystematyzowania, autor wyczerpuje do pewnego stopnia główniejsze fakta naukowe i tworzy dość okrągłą całość.

Ciepło, elektryczność, światło, każde rozdzielone na cztery wieczory (wszystkich jest 12,) zarówno są dobrze opracowane. Znajomość gruntowna przedmiotu, opowiadanie swobodne, sposób przedstawienia zawiłych często rzeczy zręczny i trafny, nadają książce prawdziwą wartość.

Szczegóły wzięte z życia ludzi, co w ostatnich czasach najwięcéj przyłożyli się do postępu nauki przez swoje genialne wynalazki, bardzo są na swojem miejscu, gdyż zaciekawiają czytelnika, albo słuchacza i zaostrzają jego uwagę.

Język czysty, z małemi wyjątkami poprawny, zastosowany wszędzie do pojęć młodych słuchaczów, może być uważany za wzór dla dzieł popularnie rzecz traktujących.

Co do nas, wyznajemy otwarcie, żebyśmy woleli aby zamiast *Zygmusia*, *Kazia* i *Jadwisi*, wyjątkowo dowcipnych i uważnych dzieci, miał do czynienia tak intelligentny *wujaszek* po prostu z młodemi ludźmi, pragnącemi się oświecić w tem, czego nie znają. Naturalnie, wtedyby wiele dziecinnych dowcipów musiały zastąpić pytania i uwagi zupełnie innego rodzaju. Rzecz sama niby na tem nie straciła, owszem zyskałaby wiele, a z książki korzystaćby mogli ci lub te, którzy pomimo swojego ignorantyzmu za nic w świecie nie wezmą do ręki książki napisanéj dla dzieci.....

Czytelniczkom naszego Tygodnika, które nie zrażą się ani *młodocianym wiekiem*, ani *starym przyjacielem*, szczerze polecamy *wieczory*, mając to przekonanie, iż w nich znajdą dopełnienie, powtórzenie, a w najlepszym razie przypomnienie tego, czego się niegdyś na pensyi w skromniutkim zakresie uczyły.

J. Pracki.

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

Zawieszone chwilowo sprawozdania o pracach naszych malarzy na nowo podnosimy, nie dla popisu ze zręcznym układem słów mających być niby znawstwa przedstawicielami, ale dla zwracania uwagi powszechnéj na nasz artyzm, a samych panów artystów na sąd o nich rozmiłowanéj w sztuce publiczności. Pracując dla niéj i dla niéj zapełniając utworami pędzla salony Wystawy, sąd ten nie może i nie powinien być obojętnym. Może mu brakować ścisłości, owego subtelnego wnikania we wszystkie tajemnice sztuki, ale nie dobréj woli. Pierwsza należy do samych artystów, pośrednictwo zaś z dobrą wolą pomiędzy niemi a widzami do perjodycznéj prasy. Obowiązek ten i nadal chętnie spełniać będziemy.

Od chwili otworzenia Wystawy, malarstwo nasze widocznie się coraz pomyślniéj rozwija. Talenta mnożą się, nazwiska nowych pracowników nierzadko występują na pole publicznego popisu, więcéj znani a studjujący arcydzieła cudzoziemskich galerji nadsyłają na wystawę owoce swego postępu, a starsi nie ustając w pracy, coraz więcéj starają się usprawiedliwić zdobyte już przez nich uznanie.

Pociecha to niemała dla wszystkich pojmujących ważność pracy, ducha społecznego, we wszystkich kierunkach jego działalności, mimowoli jednak nasuwa się pytanie, dla czego czynność ta zamiast w harmonijnym postępować rozwoju, więcéj skrzętności dotąd okazała w plastycznéj sztuce piękna, jak w badawczéj pracy naukowéj, będącéj jéj podstawą i przewodnikiem? Być może, że słowo czerpiąc podnietę w warunkach jakich nie posiadało, coraz więcéj bezwładniejąc, ustąpiło wreszcie sztuce pierwszeństwa. Zawsze jednak jest to fakt godny bliższéj uwagi. Nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny, wszystko w nim splata, łączy się z sobą i wydaje odpowiednie następstwa. Duch ludzki na chwilę ani w bezczynności pozostać nie może, i ulegając temu odwiecznemu prawu idzie tam, gdzie mu przeszkody mniéj stawiają zawad. Nie zawsze się to dzieje z obopólnym wszystkich pożytkiem, kwiat w łodygę zbytnie wybujały zwiędnie i nasienia zwykle nie wydaje lub plonuje nikłem i niepełnem. Kwestją tę na teraz zawieszamy, i przechodzimy do zamierzonego sprawozdania biorąc koleją obrazy w takim porządku, w jakim zawieszone zostały w salach tutejszéj wystawy.

W pierwszym zaraz przedziale mieszczą się portrety panów, Millera, Heymana i Kurelli. Wszystkie o ile wnosić można z rozwiniętego w nich życia i ze znajomości osób które przedstawiają, zalecają się wielkiem podobieństwem w twarzach, co najpierwszą stanowią zaletę pracy portretowéj malarzy. Zdaje się tylko brak w nich pewnéj delikatności kolorytu, owéj miękkości tyle pożądanéj, co każe zapominać o farbie użytéj do ich odtworzenia. W portretach np. p. Millera włosy we wszystkich trzech postaciach zdają się być jakby niewykończone, jakby artysta zapomniał, że stanowiąc główną ozdobę głów kobiecych, zasługują na większe odznaczenie powiewności swego delikatnego rożdziału, jaki się zwykle w ich zewnętrznéj stronie przedstawia. Zdala patrząc zdają się być wykrojone jakby z jakiego materjału, nie ma w nich życia ani złudzenia, bliżéj zaś znać tylko kolor i kształty ogólne ale nie włosy. Kolor także oczów u portretu blondynki, jakkolwiek w twarzy miléj i ujmującéj, razi zbyt niebieską barwą prawie nie różniącą się od barwy ozdób przy sukni znajdujących się. Wątpimy aby to zgodne było z oryginałem, a w każdym razie z podobnie niebieskiemi oczami nigdzie się nam spotkać nie zdarzyło.

W portrecie p. Heymana mężczyzny znanego nam dobrze, włosy bardzo starannie zostały wypracowane, co i zbliska i zdaleka przyczynia się wielce do ożywienia przedstawionéj postaci. Staranność ta już mniéj widnieje w portrecie p. Kurelli, większa jest jednak jak u p. Millera. Nadto w portrecie blondynki o którym wyżéj mówiliśmy, tło jeszcze przy jasnéj postaci i stroju ją odziewającym, zdaje się nam być zupełnie nieodpowiedniem. Na ciemniejszem z ułudną przezroczystością, postać cała więcéj uroczo i powiewniejby wyszła.

Obrazek tegoż p. Millera p. t. Belfer żydowski, jakkolwiek mały rozmiarem, posiada jednak przymioty bardzo pochlebnie za nim przemawiające. W małéj i ubogiéj izbinie, poważny talmudzista trzyma księgę na kolanach, z któréj mały chłopczyna czyta z wielką uwagą. W twarzy nauczyciela widać spokójniczem nie zamącony, w obliczu chłopczyny w podartym hałacie, jednym końcem oderwanym spuszczającym się aż do ziemi, widnieje spryt właściwy temu pokoleniu. Czyta co prawda z uwagą, nawet z zaciekawieniem, ale nie z pobłyskiem rozwijającéj się umysłowości, tylko więcéj z chętką ukończenia nudnéj nauki, któréj zrozumieć należycie nie można.

Twarze te obie wiele mają prawdy w sobie i życia, szczególniéj chłopczyna wolny od wszelkiego zarzutu, pociąga do siebie i zwraca najprzód oko patrzącego. W izbinie stoi stół prosty, na nim szklanka, z palącego się pieca ogień przegląda, przy stole widać zawieszoną laskę nauczyciela przy niéj czapkę leżącą, ale szczegóły te nie tyle są opracowane jak należy. Artyście szło tylko o twarze osób głównych o resztę mniéj był dbałym i pamiętnym.

(d. n.)

O ubiorach.

Nowo rozpoczynający się rok niewiele dotychczas przyniósł zmian w ubraniach, chociaż magazyny w téj porze najwięcéj sprowadzają nowości, zwiedziliśmy zatem fabrykę kwiatów od kilku lat prowadzoną przy ulicy Niecałéj w domu W. Kruppego w podwórzu na pierwszem piętrze. Właścicielka tego zakładu uczennica pierwszorzędnych pracowni paryzkich p. Szymkiewiczówna wróciła niedawno z Paryża, zkąd przywiozła modele najświeższéj mody, na wzór których ma już wyrobione garnitury kwiatów tak prześlicznie naśladujących naturę, że niemożna oceniać je jako przystrój sukien i kapeluszy, ale raczéj jako dzieła sztuki, z taką subtelnością najmniejszy szczegół jest wyrobiony. To też oddając sprawiedliwość doskonałéj robocie p. Szymkiewiczównéj, mamy sobie za obowiązek zwrócić zarazem uwagę Czytelniczek naszych na kwiaty, do kapeluszy, czepeczków i stroju ślubnego.

Do najmodniejszych należą spore bukiety z kwiatów, zakończone powiewną gałązką spadającą na łokieć a czasem i dwa łokcie. Bukiet taki dla mężatki z dodaniem małego kawałka koronki stanowi ubiorek wieczorowy na głowę. Dla panien również się używa, z tą tylko różnicą, że nieskłada się ze zbyt wielkich kwiatów, ułożony bywa nieco więcéj w kształcie małego wieńca i zakończony często małą gałązeczką podniesioną z boku głowy i chwiejącą się, która wygląda jak kitka.

Garnitur do sukien strojnych wieczorowych jest tak wielki, że przy nim wszelkie inne dodatki w przystroju sukni są zbyteczne. I tak: na lewem ramieniu wyciętego stanika, przypina się mały bukiecik z długą gałązką spadającą na plecy. Odpowiedni kwiat umieszcza się na środku stanika, a trzeci takiż sam kwiat znowu z długą gałązką, dodaje się przy pasku z prawéj strony.

Podpięcie przedniego bryta tiuniki stanowią wielkie bukiety, które się łączą ze sobą za pomocą gałązki z kwiatów, naszytéj brzegiem tiuniki, z pod któréj tworząc frendzlę, wypada trawka zielona lub innego koloru odpowiedniego gatunkowi liści całego garnituru. Dopełnienie tego sutego garnituru stanowi odpowiedni bukiet na głowę z gałązką wijącą się pomiędzy lokami. Cena takiego garnituru 25 rs. wydała nam się dosyć nizką, zważywszy że kwiaty paryzkie pojedyncze kosztują nieraz w Warszawie po kilka rubli.

Z pomiędzy ogromnego wyboru kwiatów sprowadzonych z Paryża odznaczają się tu szczególniéj: Powoje najrozliczniejszych kolorów, z których jedne są koloru turkusowego przy świetle wieczornem i bardzo odpowiednie dla blondynek.

Bukiety układane z gron ze złota które otaczają listki rozmaite i trawki lekkich kształtów, również złote. Doskonały to znowu przystrój dla brunetki.

Kwiat kasztanu z całą swoją puszystością i odcieniem blado różowym doskonale naśladowany, do tego słopnia że i owoce są przy nim a wszystko przypominające naturę do złudzenia.

Róże są tu w ogromnym wyborze, tak zwane koloru „Paris brulé“ to jest w połowie różowe w połowie jakby przypalone, bardzo modne w Paryżu, nam jednak lepiéj się podobały herbaciane blado-różowe w kolor żółty wpadające.

Kwiat przeznaczony do ubrania głowy, można dostać od rs. 1 kop. 50.

W ubraniach jak powiedzieliśmy zmiany nie wielkie. Na koncerta i do teatru ubierają się w suknie niezbyt powłóczyste, staniki u nich w pół otwarte, których główną ozdobę stanowi wielki kołnierz otaczający wykrój. Na kołnierze te coraz bardziéj wchodzi w użycie koronka irlandzka, chociaż jako kosztowna zastępowaną jest często innemi gatunkami. Dopełnienie konieczne wyciętego na przodzie stanika stanowi na szyi czarna aksamitka z medaljonem złotym lub czarnym.

Na głowę modne są bardzo przepaski, otaczające kok i związane na kokardę na środku koka z tyłu.

Dodamy jeszcze kilka opisów pięknych kostiumów wizytowych, jakie widzieliśmy w magazynie p. Thonesa przy ulicy Senatorskiéj. Kostium z kaszmiru czarnego. Spódniczka dolna z szeroką falbaną wyszyta szlakiem z różnokolorowych jedwabiów w guście tureckim, ozdobiona była wypustką z atłasu pąsowego koloru i zakończona frendzlą czarną u dołu. Na wierzch było dodane „vêtement“ z przodu rozcięte, tworzące długie śpiczaste poły podpięte z boków, z tyłu przedstawiające krótki kaftanik z pod którego wypadają szerokie szarfy, naturalnie wszystko ozdobione na wzór falbany tureckim szlakiem, wypustką pąsową i frendzlą czarną jedwabną.

Czarna jedwabna z poult de soie. Spódnica z szeroką falbaną układana w szerokie fałdy w odstępach, oszyta była frendzlą jedwabną z dżetami, które przy sukniach jedwabnych wchodzą znowu w modę. Tiunikę bardzo sutą otaczała frendzla a dopełnienie stanowił stanik z karoczkiem i szerokiemi rękawami, wszystko przybrane frendzlą.

Vêtement czyli ubranie zwierzchnie tak dziś bardzo używane do wszelkiego rodzaju sukien z bareżu czarnego, wyrabia magazyn pana Thonesa po rs. 20 z gładkiego materjału, po rs. 25 w atłasowe pasy.

KORESPONDENCJA.

Pani T. z Lep... Hłu... Opowiadanie: La Fontaine i Fouquet, przeznaczone dla Przyjaciela Dzieci, aby odpowiedziało potrzebie jego młodych czytelników, winno być poprzedzone objaśnieniem, kto byli ci znakomici ludzie, z poglądem ogólnym na króla Ludwika XIV. Bez tego rzecz traci na swéj wartości i dla tego artykuł ten nie może być drukowanym. Prosimy jednak o inne prace i dziękujemy za pamięć.

Pani Marji Wyd. Od przysłanych rs. 14 zostaje w Redakcji kop. 79.

Pannie Anieli Klo. Od sprawunku pozostało kop. 67.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066k). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 4 r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Pan Stanisław rzucił naprzód okiem na podpis i pobladł.. potem ramionami ruszył.

— Odwoływanie zawsze jest rzeczą trudną, rzekł.. winien jestem...

— To nie dosyć, odwołanie swoją drogą, dorzucił pan Karol, a p. Pilawski od wymienienia imienia winowajcy, który list pisał nie ustąpi..

— *'S richtig* i nie może ustąpić—potwierdził baron. Co pan na to?

— Ja imienia osoby zdradzić nie mogę—wycedził Greifer.

— A zatem bić się musimy — rzekł baron.

— Zrób duszko testament,—dodał p. Karol..

— Ha no! odezwał się chmurno p. Stanisław.— w pojedynku nie zawsze ten wygrywa, kto najlepiéj strzela i fechtuje się..

— A za tem, *times is a money*, przerwał baron, pojedynek nieunikniony mówmy tylko o warunkach.. kiedy sobie pan życzy?

Greifer stał niemy,ręką potarł czoło, powiódł oczyma po suficie.. mimo wrażenia jakiego doznawał i zimnych potów jakie nań biły, musiał fantazją nadrabiać. Kiedy się panom podoba..

Baron i Surwiński spojrzeli po sobie.

— Co prędzéj to lepiéj, rzekł Surwiński.

— I ja tak sądzę — powtórzył Greifer.

— Jutro, jeśli deszczu nie będzie — zaproponował baron..

— Jutro..

— Gdzie?

— Gdzie się podoba..

— Na drodze do Żegestowa za Muszyną..

— Bardzo dobrze..

— Godzina?

— Dziewiąta rano.

— Zgoda.

— Do pana należy wybór broni — rzekł baron..

Nastąpiło długie milczenie.. p. Stanisław bił się na pałasze jako tako, strzelał mizernie.. lecz.. przez rozpaczliwą brawurę, chcąc okazać że się nie boi, sam nie wiedząc jak i dla czego, zawołał: — pistolety..

— *Va bene* — pistolety, ruszając głową mruknął major.. staniecie na piędziesiąt kroków i iść będziecie do barier.. strzał do woli.. Pojedynek do pierwszéj krwi i rany. Zgoda?

Greifer ruszył ramionami—Wszystko mi jedno.

— Ze względu na okoliczności, warunki stawię jak najpomyślniejsze dla pana,—mówił Hotkiewicz— nie kryję tego iż mimo nich,. mocno się lękam..,

— Ja także ja także — począł Surwiński, niewidzianie celnie strzela..

— Zatem, *bien vu, bien entendu*, na palcach zbierając punkta główne kończył baron. —Czas, jutro, godzina dziewiąta rano, miejsce,—drożyna pod laskiem za Muszyną, broń,—pistolety,. piędziesiąt kroków, strzał do woli,. do pierwszéj krwi.

Greifer głową tylko skinął i skłonił się, sekundanci wyszli pożegnawszy go, w téj chwili dopiero obejrzał się obłąkanym wzrokiem do koła i padł na sofę, głowę chwyciwszy w obie dłonie.

— Stało się!-zawołał,— wszystko skończone!

W roku 1846, kto pamięta Warszawę, przypomni też sobie może dosyć oryginalnego człowieka, który miał piękną kamienicę przy ulicy Długiéj i dom w rynku Starego miasta. Nosił się on ze staroświecka w kapocie, ale z pewną elegancją zawsze uszytéj, w stroju reszta acz niemodna, z pewnym smakiem była dobraną. Człek był dobrze nie młody, posiwiały ale rumiany, czerstwy i pięknéj twarzy, rysów szlachetnych.Mówiono że miał lat przeszło sześćdziesiąt, przecież gdyby nie siwizna, nikt by mu nad czterdzieści nie dał. Ponieważ nosił zawsze kapotę szaraczkową i wszystko w tym skromnym kolorze dobrane, znano go pod poufałem imieniem *Szaraczka.* Wszakże przezwisko to w ustach tych co je wymawiali nie miało nic szyderskiego, nic uwłaczającego. Szaraczek był wielce lubionym i wyglądało na rodzaj pieszczoty. Pochodził z rodziny prastaréj mieszczańskiéj i życie miejskie, jego instytucje, stowarzyszenia, bractwa, obchodziły go serdecznie. Należał do konfraterji literackiéj, był opiekunem różnych zakładów, dla biednych świadczył wiele.. Pomimo téj znanéj dobroci i uczynności Szaraczek wyglądał surowo, chodził zamyślony, posępny, z dwoma wiekuistemi fałdami na czole, namarszczony, a mówił jakby chciał łajać. A gderząc często się sam rozpłakał. Starsi ludzie pamiętali że był za młodu żonatym, bardzo do żony przywiązanym, żył z nią jednak tylko parę lat, bo mu wkrótce zmarła, nie zostawiwszy potomstwa. Na Powązkach biedny wdowiec wystawił jéj pomnik piękny i często doń jeszcze teraz nawet pielgrzymki odbywał. Pomimo, że go prawie gwałtem swatano i żeniono, że na różne pokusy był wystawiony, żenić się już więcéj nie myślał.

— Takiéj drugiéj mieć nie będę — mawiał — a przysięgałem ci jéj nie do jéj śmierci ale do mojéj, i zostanę wiernym. Jakoż późniéj już go nawet nie napastowano. Nie miał bliższéj rodziny, nie bardzo to kogo obchodziło mawiano tylko czasami po cichu: Ciekawa też rzecz co Szaraczek zrobi z majątkiem? Boć dom i kamienica, a bodaj i gruby kapitał przy nich,. pewnie się to albo dobroczynności albo szpitalom dostanie bo komuż by? Tym czasem Szaraczek i pieniądze bardzo szczęśliwie robił, i szczodrze szafował niemi na ubogich i nikomu się nie spowiadał co myśli na potem.

Wiedzieli ci co go znali, że człowiek był opatrzny, stateczny i bez rozporządzenia nie umrze pewnie, a przekonani byli iż rozporządzić majątkiem potrafi. Szacowano go grubo i bajeczne rzeczy prawiono o dostatkach, chociaż człek był skromnych obyczajów a wcale ich dla siebie nie używał. Szaraczka ojciec jeszcze miał wielki skład sukna przy Długiéj ulicy, i wielki warsztat krawiecki, z którego robota się rozchodziła po całym kraju. Znano ją szczególniéj z sumienności bo tam pewnie ani zgniłego i zleżałego towaru, ani tandetnego szwu nikt nie znalazł. Już za syna obok warsztatów w których się przysposabiała robota gotowa w wielkiéj ilości, wywożona na jarmarki, powstał zakład wytworniejszéj krawieczczyzny, któ-ry z zagranicznemi mógł iść o lepszą. Zaprowadzono tu wszelkie ulepszenia jakie gdzie się ukazały, czeladź była dobrana, Szaraczek co roku sam jeździł za granicę i najprzedniejsze sukna, kazimirki, korty, baje zakupywał w Anglji, w Bernie, w Sedanie. tak że często odstępował z nich hurtownie mniejszym rzemieślnikom. Człek był porządny, stateczny i co się zowie — z głową. Znano go z niéj równie jak z najpoczciwszego serca. Choć niepozornie się odziewał i nikt by go nie posądził o jakieś wyższe wykształcenie, ale praktycznie go nabył, czuł jego potrzebę i pracował nad sobą, wcale z tego nie szukając chluby. Bywało gdy z nafałdowanem czołem i rękami w kieszeniach kapoty. stanie przy jakich naradach i rozmowie poważnéj, a poczną eleganci i blagery pleść androny niby mądre bardzo, Szaraczek słucha słucha, usta mu się krzywią, głową trzęsie, cierpi cierpi. a jak się odezwie, zmusi do milczenia. Nie gniewał się nigdy, gderał prawie zawsze. W końcu młodzież co chciała rozumną udawać już się przy nim strzegła, bo ją w komysz zapędzał. Czasem metody sokratycznéj. z miną niewinną począł pytać a jak jął ścigać owemi zapytaniami z jednego w drugie wpadając,tak w ciasny kąt zagnał pyszałka że musiał zamilknąć.

Szanowano go powszechnie, lecz się też i lękano, a paniczkowie słabo kuci. unikali jak mogli, bo był dla nich nielitościwym.. W r. 1846 chociaż sklep, magazyny, warsztaty miał w kamienicy przy ulicy Długiéj, sam Szaraczek mieszkał jeszcze zawsze na Starem mieście w domu do którego był nawykł, i wynosić się z niego nie chciał, bo w nim parę lat z żoną przeżył szczęśliwych. Tu na pierwszem piętrze zajmował kilka pokoi jeszcze dawnemi sprzętami zastawionych, a niektóre z nich nie widzieć jak były stare. i choć nie wytworne, nosiły na sobie cechę epoki, gdy najmniejszą rzecz wykonywała ręka nie machina myśl nie jakaś forma wyciskająca tysiączne wyroby, Dość jest przypatrzeć się lepiéj zachowanym domom. mieszczan Gdańska, Torunia, Elblągu, ażeby się przekonać, że bogatsi mieli zamiłowanie kunsztu i smakowali w rzeczach pięknych, a w owych wiekach rzeczy te robiły się na trwanie długie, gruntownie, mocno i z miłością jakąś a pieszczotą. Więc szafa taka rzeźbiona a wysadzana, do pisania stół, szkatułka kiedy się kupowała to ją dobrano jak pieścidełko i szanowały ją pokolenia, a nie łatwo się zbywano nawet kufrów po babce i zamczystych szafarni.

Szaraczek miał takich sprzętów dosyć. różnemi czasy przez ojca i dziada pozbieranych, a jakoś to mimo wojen ocalało. Na dole w tym samym domu mieścił się sklepik korzenny też odwieczny, na drugiem piętrze lokator, stary urzędnik, na trzeciem na dwoje podzielonem, dwie bardzo ubogie rodziny, którym Szaraczek dał przytułek, ojciec z dwoma córeczkami wdowiec, rzemieślnik, i wdowa z małym chłopaczkiem. Ta zajmowała jedną izdebinę z komórką, brała jakieś roboty do domu, ale się jéj strasznie źle wiodło, wymizerowane było kobiecisko i gdy przyszło komorne płacić, chodziła zawsze z niecałem do właściciela domu o folgę prosząc. Oddawała potem jak mogła kapaniną po troszę, lecz zawsze coś zalegało. Szaraczek bardzo był dla niéj wyrozumiały, mówiono nawet, że jéj czasem pożyczał jeszcze grosza ale gdy się komu nie wiedzie — trudno biedę zwyciężyć. Im się człek uparciéj z nią łamie, tem ona zajadléj dokucza. Pomimo pomocy Szaraczka wdowie szło źle bardzo, głównie z tego powodu, że zdrowia nie miała

Całemi dniami robić nic nie mogła, gdy do sił trochę przyszła, rwała się, dniem i nocą pracując, aby przechorowany czas nagrodzić i znowu się nabawiała choroby. A że miała chłopaka jeszcze lat ze siedem lub osiem dochodzącego, którego bardzo kochała, często z nim razem zmuszona mrzeć głodem, płakała z rozpaczy, łzy też i oczy psuły i zdrowie. Słowem sąsiad szewc, który też miał dziewcząt dwie na głowie a był wdowcem, ale któremu się daleko lepiéj powodziło, chociaż poniedziałki obchodził i napiłym też bywał czasem, już dawno prorokował, że z tą Dudzikową będzie źle. Zwała się bowiem Dudzikowa, nikt tak dalece nie wiedział co była za jedna, pewnie też po rzemieślniku wdowa. Nie żyła ona z nikim, nikt u niéj nie bywał, a kto zajrzał powiadał, że w izbie sprzętu prawie nie widziano, nawet łóżka brakło, siennik tylko leżał na podłodze. I chłopiec i ona spokojni byli, a choć u szewca nieraz i w nocy czyste piekło powstawało, tak się kłócili wrzeszczeli, śpiewali, śmieli i swawoliły dziewczęta, nigdy się Dudzikowa nie poskarżyła, nigdy jéj słowo z ust nie wyszło.

Sama sobie służyła, rzadko po robotę chodziła, chłopca biorąc z sobą, a dzieciak już był tak nauczony zawczasu, że się do innych dzieci nie garnął i siedział w tem zamknięciu a nie słychać go było. Chłopak jak matka był mizerny strasznie, ale tak uderzająco piękny, iż mu się wszyscy dziwowali. Matka też znać była za młodszych i szczęśliwszych czasów piękną bardzo, dziś z tego ledwie ślad pozostał.

Jak to zwykle bywa po sąsiedztwach, szewcówny, służąca czeladź nie mając co robić, poglądały, ciekawili się, szpiegowali, co się u Dudzikowéj działo.

Poświdrowano dziurki, żeby ich podpatrywać, ale co tam było zobaczyć, kobieta grubem jakiemś szyciem od rana do nocy, czasem i przez noc była zajętą, dzieciak siedział naprzeciw niéj patrzał jéj w oczy, posługiwał, pomagał, drzémał lub bawił się, rysując kawałkiem kredy po podłodze. Czem żyli tego dojść było trudno, coś czasem miewali ciepłego, zresztą chleb i kartofle. Dziecko dostawało uschłą bułkę i trochę mleka, matka, jak utrzymywały szewcówny, razowym chlebem rozmaczanym w wodzie się żywiła. Stróż kamieniczny słyszał parę razy, że Szaraczek na Dudzikową krzyczał za to, iż jéj tak źle było, przypisując winę jéj saméj — z jakiego powodu niewiadomo. Nawykli byli wszyscy, do tego, że chorowywała często, więc póżniéj nie bardzo się tem troszczono, gdy na sienniku leżała, a chłopak skulony u jéj nóg popłakiwał cicho. Dziecko jakoś dzikie z natury ani do zabawy, ani na łakocie zwabić się nie dawało.

Jednego dnia póżnéj i chłodnéj jesieni, stróż kamienicy wpadł do Szaraczka bardzo rano, gdy ten jeszcze, chodząc po izbie, pacierze mówił, z miną wielce wystraszoną i z pośpiechem niezwykłym, a że go stary nie zaraz postrzegł, począł chrząkać niecierpliwie. Nic to nie pomogło, bo dopiero dokończywszy pacierza i przeżegnawszy się, Szaraczek się obrócił i gderliwie, po swojemu zapytał:

— Czegóż ty tam chcesz? Stróż zamiast odpowiedzi mocno darł włosy i ramionami dzwigał, podstąpił krok i po cichu odezwał się. — Proszę jegomości, trzeci dzień dziś jak Dudzikowa z domu nie wychodziła i ani jéj, ani dziecka nie słychać. Szewc się boi czy nie zaczadzieli, albo się im co nie stało, bo cichusieńko w izbie, a drzwi, probowałem zaparte na zasuwkę wewnątrz. — Trzeci dzień! — zawołał stary. I nie daliście mnie jeszcze wczoraj znać? Trzeci dzień!

—Ale bo oni tam licho wie czem i po jakiemu żyją, a i to trzeba wiedzieć, że przed trzema dniami kobiecisko się już ledwie włóczyło. Widziałem ją wchodzącą na wschody, co kilka kroków stawała, głowę opierała na poręczy dyszała i dopiero wytchnąwszy szła daléj. Pół godziny się tak ciągnęła na górę.

— A czemużeś mi wczoraj nie dał znać, trutniu jakiś? powtórzył Szaraczek. — Skaranie Boże. I porwał się, jak stał, ze stróżem iść na górę. Gdy do drzwi zastukali, szewc i cała jego rodzina wyszła do sieni, potwierdzając co stróż doniósł, iż u sąsiadki życia znaku już drugi dzień nie było, że przed trzema dniami słyszeli stękanie i jęki, potem płacz cichy dziecka, potem już nic.

Szaraczek na dobre począł się do drzwi dobijać, ale z wnętrza głos się żaden nie odezwał. Posłano zatem po ślusarza i drzwi po części wyłupawszy, otworzono. Boleśny widok przedstawił się oczom ciekawych. W izbie pustéj na sienniku, leżała kobieta znać już oddawna skostniała, sina, umarła. Przy jéj boku spało gorączkowym snem dziecko, przytulone, ledwie już żywe od głodu. Znać posłuszne woli matki i nawyknieniu, o nic się do ludzi odezwać nie chciało i czekało przebudzenia ze snu tego, z którego się już nie budzi. Szaraczek schylił się i naprzód dziecko omdlałe wziął na ręce. Chłopak już nie przytomny, oczów nie otworzywszy, zarzucił mu wychudłe rączyny na szyję, stary się rozpłakał. Natychmiast zniósł sierotkę do mieszkania i posłał po doktora, a sam, nie dając nic ruszyć w izbie, wrócił, ażeby być przytomny obejrzeniu pozostałości. Po Dudzikowéj nie zostało w istocie nic — kilka wystygłych wyszczerbionych garnuszków, trochę łachmanów biednych, ani papieru, ani swistka, ani żadnego dowodu kim była. Znano ją jako wdowę od lat kilku pracującą na życie, domyślano się, że musiała być z miasta, zapisała się jako Dudzikowa i nikt ją o więcéj nie pytał. Na palcu miała złotą ślubną obrączkę, którą jako pamiątkę zdjął stary dla dziecka, pogrzebem sam się zaraz zajął, i zmęczona życiem istota poszła do grobu, odpocząć.

Od pierwszéj chwili, gdy sierotę wniósł do swego mieszkania Szaraczek, i poczuł ręce te na swéj szyi konwulsyjnie splecione, powiedział sobie w duszy: Sam pan Bóg mi dał to dziecko, innym je daje ze szczęściem, mnie zesłał ze śmiercią. Nie ma ono nikogo na świecie i ja nikogo nie mam — mojem będzie. Odżywiono chłopaka powoli ostrożnie, a gdy odzyskał przytomność i począł gwałtownie domagać się matki, któréj już na swiecie nie było, musiano go uspokoić tem, że matka sama go tu oddała i kazała mu pozostać, dopóki nie powróci. Nie rychło bardzo chłopiec się dał ukoić, zabawić i skłonić, żeby coś innego robił, on zawsze w oknie siedział matki wyglądając. Szaraczek, zostawszy w ten sposób ojcem, pierwszy raz w życiu zakłopotał się jak to dziecko wychowa.

Zaniedbał nawet nieco swoje interesa, których pilnować był zwykł, nie spuszczając się na nikogo, rozmyślając co z chłopcem robić. Uczuł wszakże, iż mu cel w życiu przybył, że mu się przyszłość jakoś otwarła jaśniejsza, że mógł odżyć w tem dziecięciu. Lecz jak w innych sprawach tak w téj, nie radząc się nikogo prócz własnego instynktu i rozumu, postanowił rzeczy nie robić przez połowę, lecz wziąwszy raz sierotę wziąść ją istotnie jako syna i przyszłego spadkobiercę. Chłopak mu się też podobał, żywy był, roztropny, pojętny i przywiązujący się.

Po dwóch czy trzech miesiącach, gdy długo samotny, stary wracając do domu, słyszał srebrny głos dziecięcy, widział go biegnącego przeciw sobie z otwartemi rękami i czuł tulącego się do piersi, był jak nigdy szczęśliwym, i płakał z radości. — Niech tam sobie familja robi, co chce i psy na mnie wieszają, jeśli się jéj podoba, ja tego chłopca adoptuję i koniec. Posłał po adwokata przyjaciela swojego i zamknął się z nim na radę.

— Słuchaj panie Józefie, — rzekł mu — zwołałem cię tu na radę to prawda, ale com postanowił, temu się już nie sprzeciwiaj, bo ci otwarcie mówię, nie posłucham — to darmo. Naucz mnie tylko jak to mam wykonać, co postanowiłem.

Znasz historję Gabrysia, adoptuję go za syna.

Adwokat czmuchnął. — A co powiedzą krewni? —A im co do tego? Gdybym się był drugi raz ożenił? hę? Miałbym syna, mam go z łaski Bożéj i nie porzucę. Chcę go formalnie adoptować. Adwokat radził się z tem wstrzymać, ażeby chłopak wyrósł i wychował się i okazał czy tego wart. Szaraczek się sprzeciwił. — Natura poczciwa, — rzekł, — resztę od wychowania zawisło, to moja rzecz... Gdyby się popsuł, ja będę winien nie on.

Z upartym niepodobna było się sprzeczać. Poraz pierwszy, nawet przed dobrym przyjacielem, z powodu tego interesu stary wyspowiadał się ze swojego stanu majątkowego, stawiając jako zasadę, iż powinien synowi wychowanie dać stosowne do majątku. Majątek, najniżéj ceniąc obie nieruchomości, sklep, kapitały, itp., wynosił niepospolitą summę miljona dwóchkroć stotysięcy złotych. Była ona owocem pracy ojcą jeszcze, potem syna, a razem oszczędności obu. Chłopiec mój interes będzie prowadził daléj, nie chcę, aby go rzucał, nabywał dobra i przedzierzgał się na szlachcica, uchowaj Boże, ale chcę, żeby był tak wychowany, tak mościpanie wykształcony, tak rozumny, i utalentowany, aby i książętom nie ustąpił. Ot, co mi się w głowie roi. Chcę z niego zrobić człowieka i do tańca i do różańca. Będzie kupcem i rzemieślnikiem, ale takim, mospanie, jakiegoście jeszcze nie widzieli! Bo to, mosanie, — zawołał Szaraczek, — u nas taka moda, że komu Bóg da rozum i naukę, i polor, wnet dezertuje z obozu naszego i wciska się tam, gdzie go nie potrzebują, a jak ma trzos dobrze nabity, toć go przyjmą. Ja tego nie chcę, ja — tu stuknął pięścią o stół — ja im pokażę, iż można być światłem i wykształceniem im równym, a łokcia się i nożyc nie wstydzić.

Adwokat się śmiał, dowodząc na różne sposoby, że wykonać było niepodobna, co Szaraczek zamierzył, ale ten stał przy swojem. Aktem tedy urzędownym i formalnym, owa sierota bez pewnego nazwiska nawet, niewiadomego pochodzenia, uznaną została synem poczciwego, starego, spadkobiercą mienia i imienia, krewni lament podnieśli ogromny, a że bardzo ich to dolegało, pomścili się potwarzą utrzymując, że ów sierotka, w cale z kąd inąd nie z poddasza pochodził. Obliczywszy się z fortuną, rozpoczął ojciec przybrany wychowanie, zarówno praktyczne i rzemieślnicze jak naukowe. Wziął najlepszych nauczycieli, nie żałował na nic, co tylko ułatwić mogło dziecku wychowanie, a że Gabryś był niesłychanie pojętny, miał Szaraczek godziny szczęśliwe prawdziwie, widząc jego postępy i rozwijanie się przechodzące nadzieje.

Nastąpiły szkoły, uniwersytet, podróż razem dla nauki i handlowych wiadomości. Szaraczek, czując jak wiele forma znaczy i oswojenie się z towarzystwem, sam żądał, by Gabryś z pochodzeniem swem się nie wydawał, aby w czasie studiów uniwersyteckich, mógł porobić znajomości, zawiązać stosunki i nabrać téj ogłady, któréj nic nie daje, prócz życia. A że chłopak miał szczęśliwy instynkt i do tego wychowanie powiodło się tak dobrze, iż w istocie Gabryś wyglądał na panicza i oszukiwał nawet tych, którzy najlepszy węch mają na kontrabandy tego rodzaju. Zarazem jednak Szaraczek zobowiązał i wymógł na synu słowo, iż stanu, jaki raz przyjął, nie rzuci i nie ulegnie powszechnemu zwyczajowi przechodzenia ze sfery pracy do świata fantazji i próżniactwa. Dopóki żył, stary pilnował tego, aby Gabryś interesów nie zaniedbywał, a znalazł w nim pewien rodzaj dumy, która by tego niedopuściła. Młody kupiec a rze-

mieślnik myślał tylko o podniesieniu swojego powołania, wcale zaś nie o wyparciu się jego.

Zdarzało się, że z samego interesu stykać się musiał ze światem, do którego zewnętrznie był podobnym i którego zamożność też posiadał, wynikały z tego sceny częstokroć zabawne bardzo.

Jeden z najświetniejszych złotéj młodzieży egzemplarzy, hrabia X., który między innemi fantazjami miał i upodobanie w dziwnych a wyszukanych strojach myśliwskich, do konia, i t. p., zobaczywszy raz przywieziony z Anglji wzór jakiegoś ubrania bardzo wykwintnego i smakowego, zażądał koniecznie kupić ów oryginalny londyński. Nie mogli mu go bez zezwolenia głowy domu odstąpić pomocnicy w sklepie, a że hrabia się spieszył, niecierpliwił i chciał go mieć natychmiast, wskazano mu tylko mieszkanie Gabriela, aby, jeśli sobie tego życzy, sam z nim pomówił o tem. Nie długo się namyślając, hrabia udał się tam natychmiast. Młody kupiec urządzony miał apartament kawalerski na sposób angielski, z niezmiernym konfortem i smakiem. Nie było to mieszkanie dorobkowicza wyzłacane całe dla okazania dostatku, ale raczéj artysty i człowieka rozmiłowanego w pięknie i sztuce, który rozumie, iż jednem z narzędzi łatwego szczęścia jest wdzięcznie usłane gniazdo, któremu Bóg je mieć dozwolił. Było tam więc wszystko, co znamionuje bogactwo, ale użyte rozumnie i smakownie, obrazy, statuetki, albumy, książki, pamiątki z podróży. Każdy sprzęt odznaczał się myślą jakąś, kształtem, wdziękiem i wyrobieniem artystycznem. Gdy hrabia X. zadzwoniwszy, wpuszczony został do salonu, w pierwszéj chwili tak się niesłychanie zdziwił, iż pewny, że popełnił omyłkę i zaszedł do kogo innego, chciał się już wycofać. Późniéj, zdumienie jego przybrało tak niezwyczajną formę, iż kogo innego, nie cierpliwego i chłodnego Gabriela, byłoby obraziło może. Hrabia X. patrzał, zbliżał się, oglądał, wykiwał, oczy otwierał, ręce łamał, przyglądał się posądzając, że w tem być musi jakieś oszukaństwo.

— Przepraszam pana, — rzekł po kilku chwilach wstępu, w którym interes opowiedział, — darujesz mi pan, czyj to obraz.

— To Ary Scheffer.

— Jak to Ary Scheffer? Oryginalny...?

— Kupiony na licytacji w Paryżu.

— Przez kogo?

— Przeze mnie.

— A to, wszak to.... to coś przypomina Decamps'a.

— To Decamps.

— Czy i to pan kupiłeś?

— Tak jest, panie hrabio.

— A ten krajobraz?

— To Achenbach, a to Lessing. Hrabia osłupiał. wodził oczyma. Naprzeciw drzwi do drugiego pokoju wyglądała śliczna rzezbiona wytwornie szafa biblioteczna. Na trójnogu stała zaczęta akwarella. Na kominie była kopja Venus z Milo, w kącie pijany Faun herkulański bronzowy.

— Pan, jak widzę, musiałeś już porzucić (hrabia chciał być grzecznym) interesa, i oddajesz się sztuce.

— Nie, panie hrabio, interesa są pracą, a sztuka wypoczynkiem.

Na stoliku Revue des Deux Mondes, Edinbourgh Revue i Times zwróciły oczy gościa. — Pan czyta po angielsku? zawołał zdumiony.

— Nie mógłbym się obejść bez tego języka — rzekł uśmiechając się Gabriel — bywam parę razy do roku w Anglji, mam tam stosunki handlowe.

Dziwne uczucie smutku jakiegoś opanowało hrabiego X. pod koniec tych odwiedzin, był jakby zwyciężonym, a co gorzéj widział, że ten człowiek, który wykształceniem albo mu był równym, lub go może prześcignął, nie korzystał z tego, by się z nim mierzyć, zbliżyć, by wnijść w świat, do którego zdawał się dojrzałym.

Uzyskawszy żądany strój myśliwski, hrabia wyszedł odurzony i nie mówił o czem innem przez tydzień, tylko o tem jakie to sobie teraz tony daje mieszczaństwo i rzemieślnicy, co to u nich za zbytki, jaki wykwint..

— I to tylko co nie widać jak zbankrutuje! — dodał ruszając ramionami, — ćmie się, chce popisywać, a bądź co bądź nie starczy im na to.

Przytomny bankier K. spytał o kim mowa i bardzo grzecznie objaśnił hrabiego, iż fortuna firmy téj była tak — *solide*, jak się wyraził, a prowadzenie interesów tak rozumne i szczęśliwe, że nie znał domu, któryby większy miał kredyt, a mniéj go potrzebował.

— Co pan hrabia myśli, — dodał, — *bon an malan*, mają pewnie od kapitałów, kamienic i z handlu jakie trzykroć sto tysięcy złotych czystego dochodu, — nie każdy się tem pochwalić może.

Znany ten majątek Gabriela, naturalnie ściągnął nań oczy, a że i osobistość była wielce powabna, radzono mu po przyjacielsku, aby się nie zakopywał w kontuarze i zmienił zawód, chciano go wprowadzić w towarzystwo. Oparł się temu rozumnie, nie chciał skupywać przyjęcia do grona, któreby mu to za łaskę uważało, żadnem upokorzeniem i ofiarą. Mówiono, że dumny — był nim trochę może.

Stary Szaraczek miał to szczęście, że dożył do chwili, w któréj spokojny mógł wziąść emeryturę i zdać wszystko na przybranego syna. Nie obawiał się już o nic, bo widział, że ten go właśnie tak zrozumiał, jak on być pragnął. Zwolna stary się usuwał coraz na bok, zajmował mniéj, niekiedy tylko wejrzał w książki, aby przekonać jak to stało, w ostatku zasiedział się w swéj kamieniczce, ociężał, nogi mu zaczęły brzęknąć. Stary przyjaciel doktór nie był o niego spokojnym, — chciał go do jakichś wód wyprawić — Szaraczek się nie dał. — Dajcie wy mnie pokój z temi wodami, toście sobie skomponowali na łudzenie łatwowiernych, żadna woda nie wróci siły, a wiele z nich odbierają. Gdy przyjdzie godzina, trzeba umieć umrzeć nie wykręcać się od wypłaty długu. Człowiek nie na wiele światu przydatny, nie bardzo się z nim rozumie, osamotniony, zmęczony, niech tam sobie nogi puchną.

Gabriel pilnował starego o ile on na to dozwolił, — i tak wieczora jednego, drzemiąc w fotelu po łagodnéj i przytomnéj rozmowie, ścisnąwszy rękę syna, z uśmiechem na ustach, Szaraczek usnął na wieki.

Chociaż pojedynek umówiony na dzień następny trzymany był w tajemnicy napozór i głośno o nim nie mówiono, — wiedzieli przecież wszyscy. Być może, iż Greifer, który ze swego męztwa chluby szukał nieco, miał też na celu, szepcąc o tem, sprowadzić jakąś interwencję urzędową; — to pewna, że wieczorem wiedziały o nim panie, panowie, trochę służby nawet. Lecz w tym roku wojennym, choćby nawet stróże porządku publicznego coś zasłyszeli, nie mieli jakoś ochoty wdawać się w interesa prywatne, gdy publiczne szły tak niepomyślnie. Pilawski po obiedzie zastukał do drzwi pani Domskiéj. Znalazł ją na poufnych szeptach jakichś z Jaworkowską. Elwira przy oknie czytała książkę. Sąsiadka zerwała się z krzesła zaraz, ukłoniła i odeszła. Proszono siedzieć. Wejrzenie Domskiéj było łagodniejsze niż zwykle, spoczęło ono na panu Gabrielu z pewnym rodzajem sympatji i ciekawości..

— Czy nie przeszkadzam? — odezwał się gość. — Chciałem na wszelki wypadek, pożegnać panie, bo — choćiaż, być może, iż podróż się, przewlecze, — jednakże być by — mogło, że mi nagle wyjechać wypadnie.

Pani Domska nic nie odpowiedziała, — a po chwilce rzekła z cicha, — My też mamy wyjeżdżać wkrótce, jak tylko doktór Elwirze dozwoli.

Córka jakby o pozwolenie pytając spojrzała na matkę.

— My wiemy o wszystkiem, — rzekła.

— Przepraszam panią, ja — nie wiem o niczem! — śmiejąc się zaprotestował Gabriel...

— To jest nie chcesz, ażebyśmy wiedziały — przerwała Elwira — nawet o tem że pan tak doskonale strzelasz?

— Ja strzelam nie źle do gwoździ, do tarcic, do jaskółek, do guzików, zresztą do niczego więcéj — dokończył Pilawski — a w życiu mojem widziałem wiele bardzo przykładów złych strzelców, z większem szczęściem niż moje.

— Mnie się zdaje — szepnęła pani Domska — że my kobiety trwożymy się napróżno, niepodobna aby wiadomość, która do nas doszła, nie rozprzestrzeniała się szerzéj i nie wywołała, bardzo pożądanego, zakazu...

— Chyba by go sobie ktoś inny, nie ja, życzył, — rzekł Pilawski, — bo ja — milczę, nic nie wiem i sądzę nawet, że panie zostały jakąś fałszywą powieścią w błąd wprowadzone.

Zaczął zaraz mówić o pogodzie i słocie, co było najzwyczajniejszym przedmiotem w Krynicy, i niedopuściwszy już rozmowie dotknąć nic drażliwego, nakarmiony wejrzeniem Elwiry smutnem i pełnem współczucia, wyszedł natchniony lepszą jakąś nadzieją. Obiecał się jeszcze tego wieczora hrabinie, która też wiedziała dokładnie o wszystkiem przez Surwińskiego, i czekała na niego. Chociaż Sir William, zdający się być na serjo konkurentem, mocno ją zajmował, czuła przyjaźń i szacunek dla Pilawskiego, i sprawa ta gorąco ją obchodziła. Czekała nań niecierpliwie, potrzebowała się rozmówić koniecznie. Graifer, jak się domyśleć łatwo, rozgniewany na hrabinę, któréj przypisywał całą sprawę, u niéj się nie pokazał. Było wszakże kilka osób, był Albert, William, Ormowska z Lusią i Musią, hr. Żelazowski i zaproszony tego dnia przez szczególną grzeczność pan Porfiry.

Zaszczyt, który go niespodzianie spotkał, głębokie na nim czynił wrażenie. Natychmiast poszedł do cioci prezesowéj, oznajmić iż był proszony na herbatę przez panią hrabinę i spytać o radę, o któréj iść i co włożyć? Ciocia prezesowa ruszyła ramionami.

— Czy też ty zawsze niańki będziesz potrzebować! — zawołała, — reguła ogólna, nie przychodź zawcześnie, spóźnić się można, to się lepiéj uważa. U wód fraka nie potrzeba, ale ubrać się należy starannie. I to sobie miéj za zasadę, gdy wchodzisz do domu nowego, w którym wystawionym być możesz na pokusy i duszne niebezpieczeństwo, ażebyś zawsze modlitewkę zmówił.

— Proszę cioci prezesowéj, ja regularnie, dochodząc do progu, mówię: Pod twoją obronę.

Ciocia pochwaliła to skinieniem głowy.

Porfiry rozmyślał długo nad białą kamizelką, nad krawatem, nad doborem rękawiczek, które gummą przyprowadził do pierwotnego ich stanu, zastanawiał się nad kołnierzykiem i guziczkami, i w końcu przybył tak śmieszny, iż hrabina tylko przez wielką delikatność w nos mu się nie rozśmiała.

(d. c. n.)

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Ależ dobrze — rzekł ten ostatni, bez wątpienia dobrze.

— Więc wiatr pomyślny, łagodny, — sama pora żeby podnieść kotwicę?

Carker się uśmiechnął w sposób potakujący.

— Chwałaż Bogu! zawołał uradowany kapitan. Wiedziałem że tak być musi i właśnie to mówiłem Walterowi.

— Gay ma świetną przyszłość przed sobą. rzekł Carker pokazując znowu zęby; świat stoi przed nim otworem.

— O tak, cały świat, szepnął kapitan, a w przydatku miłość kobiety.

Wymówiwszy ogólny wyraz kobieta — nie określając, Cuttle powinszował sobie w duchu własnéj zręczności i kręcąc kapelusz na końcu laski, spojrzał na Carkera mrugając okiem znacząco. Naczelnik wciąż się uśmiechał.

— Stawię w zakład butelkę starego najlepszego rumu, rzekł po chwili kapitan, że wiem dla czego się pan uśmiechasz.

Carker nie zmienił wyrazu twarzy.

— Tylko słowo, że to co powiem ztąd nie wyjdzie?

Naczelnik odpowiedział skinieniem głowy.

— Imię zaczyna się od F. — potem idzie L i O... Czyś pan zrozumiał?

Carker pochylił znowu głowę.

— Zrozumiałeś pan, — spodziewałem się tego, A co? powiedz — czy nie mądry ze mnie ptaszek?

Tą razą, naczelnik odpowiedział poruszeniem głowy tak potakującem i uśmiechem tak wyrazistym, że Cuttle podniósł się z miejsca, żeby najserdeczniéj rękę jego uścisnąć i zapewnić, że tacy dwaj ludzie jak oni zawsze się muszą zgodzić we wszystkiem. Potem, przybrawszy postawę uroczystą, a zarazem tajemniczą całkiem zastosowaną do położenia, dodał:

— Los dał mu ją poznać nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności. Pamiętasz pan zapewne, jak kiedyś znalazł to dziecię zbłąkane gdzieś na odległéj ulicy... Odtąd kochali się nawzajem o tyle o ile w ich wieku kochać się można. Zawsześmy to sobie z Solem mówili, że te dwie istoty są dla siebie stworzone.

Ani kot dziki ani hyena nie umiałaby tak zębów wyszczerzeć jak to uczynił w téj chwili Carker.

— Prąd wyraźnie prze ku téj stronie, mówił daléj rozpromieniony kapitan, a i wiatr mu także dopomaga. Wszystko się na to składa, temu dni kilka naprzykład, przypadkowa obecność tego chłopaka w tak stanowczéj chwili...

— Obecność tyle sprzyjająca jego nadziejom, dorzucił Carker.

— Odtąd, zawołał raźno kapitan, tylko mu już płynąć naprzód i ciągle naprzód. Cóżby go mogło zbić teraz z drogi?

— Nic, — odpowiedział Carker.

— Masz pan znowu słuszność, rzekł Cuttle, ściskając mu powtórnie rękę z wielką serdecznością. Naprzód tedy, a śmiało. Był także syn, ale umarł. Śliczny chłopaczek, wszak prawda?

— Śliczny. Był — ale umarł, odpowiedział bardzo uprzejmie Carker.

— Otóż w miejsce jego jest drugi w pogotowiu. Siostrzeniec wielce uczonego człowieka, siostrzeniec Salomona Gillsa, — Walter, dobrze już tu przecie znany; Walter który codzień przynosi do tego domu swą pracę i zarazem serce.

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, które uważał być szczytem wymowy, kapitan rozparł się w krześle i przechylony w tył spoglądał z zadowoleniem na Carkera, z twarzą bardziéj niż zwykle zaczerwienioną, skutkiem podniecenia w jakiem się znajdował.

— Podzielam całkiem pańskie zapatrywanie się na całą tę sprawę, rzekł naczelnik po chwili milczenia. Ma się rozumieć, że to co o niéj mówimy pozostanie w najgłębszéj tajemnicy.

— Na honor to zaręczam, odrzekł Cuttle bardzo uroczyście. Ale powiedz no mi pan, dodał; co do mojego widzenia się z panem Dombeyem?.. sądzę że może wypada z tem się nie spieszyć? Wszakże mamy dosyć czasu?

— O! mamy go dosyć, — potwierdził Carker którego usta rozjechały się w téj chwili od ucha do ucha.

— Skoro i w tem się zgadzamy, rzekł kapitan, odchodzę ztąd całkiem uspokojony. Tacy dwaj ludzie jak my, nie mogą się pomylić, zwłaszcza wspólnie działając. Żegnam tedy, nie jestem człowiekiem do komplementów, powiem więc tylko pokrótce, że dziękuję panu za jego życzliwą uprzejmość, a zarazem przepraszam za czas, który mu zabrałem.

— Ależ przeciwnie, nie mogłem lepiéj go użyć, odpowiedział bardzo serdecznie Carker.

— Grzeczność pana ośmiela mię zaprosić go do siebie, rzekł kapitan już na wyjściu. Mieszkam na Briggs — Place, pod numerem dziewiątym i zawsze rad będę szczerze pańskim odwiedzinom; proszę tylko nie uważać na to co by kto mógł powiedzieć w sieni.

Pożegnawszy się z Carkerem w sposób tak przyjacielski, kapitan wyszedł w przekonaniu, że danem mu było w dniu onym poznać najprzyjemniejszego i najbystrzejszego w świecie człowieka. Winszował sobie niewymownie, że własną zręcznością i ujmującem obejściem, potrafił pozyskać przychylność podobnéj znakomitości.

Carker tymczasem pozostawszy sam w pokoju, nie ruszył się z miejsca przez chwil kilka, i patrzał wzrokiem podejrzliwym i z uśmiechem wielce dwuznacznym na drzwi któremi wyszedł gość jego. Wyraz twarzy naczelnika i łagodny ruch którym przesuwał ręką po wygładzonym gorsie od koszuli, przypominały w sposób uderzający zdradliwe czajenie się kota.

W tejże saméj chwili kapitan kroczył korytarzem tak rozpromieniony, że niebieska barwa jego fraka zdawała się bardziéj żywą niż zwykle.

— Dobrześ się spisał, mój stary Cuttlu, powiadał sobie w duchu; dzięki tobie sprawa tych dwojga dzieci sporo się naprzód posunęła.

Napotkawszy w dolnéj sali woźnego, kapitan ufny w wielką swą zażyłość z domem Dombeya i przewidując w myśli do czego mógł dojść z czasem ów stosunek, pozwolił sobie pożartować z Percha, zapytując go czy i teraz jeszcze myśli, że pan Carker jest bardzo zajętym? Zaraz po tem wszelako, nie chcąc zostawić pod wrażeniem swéj wyniosłości biednego człowieka, który w każdym razie spełnił tylko swą powinność, kapitan szepnął mu na ucho, że jeśliby chciał wypić z nim kieliszek rumu gdzie w pobliżu, gotów mu go zafundować.

Przechodząc przez sale biurowe, kapitan rozglądał się po nich bardzo uważnie, ku wielkiemu zdumieniu urzędników tam pracujących, jak człowiek którego wszystko w domu Dombeya zbliska obchodziło. Urządzenie kassy zdało się szczególnie przypadać mu do smaku, nie chcąc jednak okazać zbyt wyłączne zajęcie się tym przedmiotem, poprzestał na kilku przelotnych ku skrzyniom spojrzeniach, poczem wyszedł, pożegnawszy urzędników z bardzo światową uprzejmością. W dziedzińcu poczekał chwilę na woźnego, którego zabrał z sobą na przyobiecane poczęstowanie.

— Zdrowie Waltera, rzekł gdy rum podano.

— Zdrowie czyje? spytał Perch.

— Zdrowie Waltera! zawołał Cuttle grzmiącym głosem.

Woźny przypomniał sobie, że słyszał kiedyś o poecie tego nazwiska, i bardzo się zadziwił, że przyszło na myśl kapitanowi wnieść w téj chwili jego zdrowie; może byłby go nawet o powód zapytał, gdyby mu na to czasu nie zbrakło. Ale Cuttle któremu spieszno było odejść, pożegnał go zaraz; zostawiając ową wątpliwość niewyjaśnioną w jego umyśle.

Przez resztę dnia kapitan kryjąc w duszy radość jakiéj doznawał z tak zupełnego powodzenia swéj wyprawy, zachował postawę tajemniczą i znaczący uśmiech w którym Walter upatrywał wyraz — zadowolenia z udania się wspólnéj ich zmowy na uspokojenie starego Sola. Późnym wieczorem odszedł do siebie, nie zdradziwszy się ani jednem słowem, a gdy przestąpił próg swego domu, miał kapelusz tak na bakier i wzrok tak zaiskrzony, że czekająca w sieni z dosyć zaczepnem zamiarami imć pani Mac-Stinger, ujrzawszy go cofnęła się śpiesznie za drzwi i nie wyszła ztamtąd, aż gdy usłyszała że się kapitan zamknął na klucz w swojem mieszkaniu.

IV.

Ojciec i córka.

Ponure milczenie żałoby zapanowało we wspaniałym domu Dombeya. Służący snują się cicho po schodach i po komnatach, niby widma których kroku nie słychać. W odległéj jednak części domu, rozmowa idzie na dobre w jadalni służących, przy sutym obiedzie, który barbarzyńskim lecz odwiecznym zwyczajem, towarzyszyć musi koniecznie pogrzebowym obrzędom. Pani Wickam opowiada ciężko wzdychając jak od dawna, bo jeszcze w domu pani Pipchin, przewidywała owo smutne zdarzenie, a łzy jéj padają w piwo, którego w dniu tym pije daleko więcéj niż zwykle. Kucharka niemniéj strapiona, obiecuje wszelako wyborną leguminę na kolację. Towlinson upatruje w tem nieszczęściu wpływy nieubłaganego przeznaczenia i zapewnia, że w żadnym narożnym domu nie wiodło się nigdy nikomu. Wszyscy mówią o téj śmierci jakby o dawnem już zdarzeniu, z którem się każdy oswoił, a jednak spokojna i uśmiechnięta twarz zmarłego dziecięcia jeszcze spoczywa na poduszkach jego łóżeczka.

Wieczorem, kilku ludzi obcych wchodzi do domu. Nie całkiem oni obcy jednak, byli tu już kiedyś. Kroki ich są ciche, jakby sukienne nosili obuwie. Przynoszą z sobą owo posłanie, na którem tak dziwno widzieć dziecię. W dniu tym nikt nie widział ojca; pozostawał on w najciemniejszym zakącie pokoju gdzie leżały zwłoki, dopóki się w nim kto znajdował; gdy odszedł do siebie słyszano jak chodził po pokoju, a nazajutrz z rana słudzy szeptali pomiędzy sobą, że w nocy pan poszedł znowu na górę i że nie wyszedł z pokoju syna aż o świcie.

W starem mieście, w kantorze Dombeya jakoś smutniéj jeszcze niż zwykle. Poprzymykano okiennice i lampy pozapalane nad pulpitami mięszają swe światło z dzienną jasnością przeciskając się szparami. Wynika ztąd ponure jakieś i niedokładne oświetlenie, bynajmniéj do pracy nie usposabiające. Nie idzie też ona nikomu. Z cicha wszelako, tu i owdzie komissanci prowadzą rozmowy mniéj posępne niż ich

dzisiejsza postawa: jest podobno mowa o jakiéjś wycieczce łódkami na Tamizie, która się szykuje na wieczór. W ogóle jednak, panuje w dniu onym pewien bezład w kantorze, a raczéj brak ładu zwykłego. Perch bardzo długo bawi na mieście, ilekroć go za czem poślą, musi bowiem za każdą razą zatrzymywać się pewien czas przed sąsiednią szynkownią, aby brać udział w toczących się tam rozmowach o zmienności szczęścia ziemskiego. Wszyscy się rozchodzą wcześniéj niż zwykle; Carker zaś starszy sam na sam z sobą w swym gabinecie, wyszczerza nieustannie zęby z jawnem zadowoleniem, jak gdyby pokonawszy jakąś przeszkodę, widział drogę ułatwioną sobie do dalszego pochodu.

W tem w oknach kamienicy przeciwległéj domowi Dombeya, ukazują się rumiane twarzyczki dziecinne. Wielce ciekawy widok zwabił tam całą gromadkę. Przed drzwiami bankiera stanął powóz jakiś całkiem czarny; powiewają na nim białe pióra, równie jak i na głowach czterech koni do niego zaprzężonych. Otaczają go ludzie mający czarne szarfy i duże laski w ręku; tłum się gromadzi aby to wszystko oglądać. Kuglarz który właśnie ustawiał talerz na końcu szpady, zarzuca znowu wyszarzany płaszcz swój na kurtkę upstrzoną szychem, a żona jego, wlokąca się za nim z dzieckiem na ręku, przystaje ażeby się przypatrzeć jak orszak z domu wychodzi. Ale gdy spostrzegła jak mały ciężar ztamtąd wynoszą, tuli swe dziecię do siebie silniejszym uściskiem, a w téj samej chwili w oknie naprzeciw, najmłodsza z rumianych dziewczynek tam zebranych, posmutniawszy jakoś choć sama nie wie czemu, wskazuje pulchnym paluszkiem na trumienkę i pyta niańki patrząc jéj w oczy.

— Co też to takiego tam niosą?

Ale otóż i Dombey ukazuje się na progu, otoczony domownikami ubranemi w żałobę. Podczas kiedy idzie ku drugiemu powozowi stojącemu przed domem, każdy z patrzących czyni uwagę. że boleść nie potrafiła zwyciężyć tego człowieka. Postawę ma równie dumną, krok równie pewny jak zawsze. Nie zakrywa twarzy chustką, ani głowy nie spuszcza, owszem śmiało patrzy przed siebie. Tylko blada twarz jego znacznie postarzała, a wyraz jéj dziwnie surowy i ponury. Siada do powozu w towarzystwie trzech jakichś gentlemanów. Są to dwaj lekarze i szwagier Dombeya. Wtedy wspaniały kondukt zwolna puszcza się w drogę. Jeszcze nie doszedł do końca ulicy i widać w dali powiewające pióropusze, kiedy już kuglarz wykręca talerze na końcu szpady, a tenże sam tłum w około niego się ciśnie. Tylko że teraz żona jego mniéj raźnie jakoś z tacą się uwija, i myśląc o tym dziecięcym pogrzebie zapytuje siebie. czy też to niemowlę które otula kawałkiem podartéj chustki, wyrośnie na człowieka, i czy będzie kiedyś przewracało w błocie koziołki, ustrojone w niebieską kurtkę szychem wyszywaną?

A tymczasem czarny wóz w pióra ubrany sunie się daléj ponuro po ulicach miasta, i wkrótce dzwony jakiegoś kościoła dają się słyszeć. Ten sam to w którem niegdyś to dziecię otrzymało jedyną rzecz, która wkrótce po niem pozostanie: imię. Wszystko co z niego umarło ma odtąd tam pozostać. Zwłoki jego spoczną obok zwłok matki, ażeby na przyszłość Florcia mogła w samotnych swych przechadzkach, razem ich oboje odwiedzać.

Po skończonym obrzędzie, gdy już odszedł duchowny, Dombey spojrzawszy w około siebie, zapytuje z cicha gdzie jest człowiek który się miał podjąć roboty grobowego kamienia? Ktoś podchodzi i powiada: to ja.

Dombey oznacza mu ręką na murze kształt kamienia i jego rozmiary, oraz wskazuje miejsce, gdzie ma być umieszczony obok grobowca jego żony.

Potem, nakreśliwszy kilka słów ołówkiem na kartce papieru, oddaje ją temu człowiekowi, mówiąc:

— Oto jest napis, chcę aby wszystko było gotowe jak najprędzéj.

— Zajmiemy się tem zaraz, odpowiada rzemieślnik.

— Nie ma nic więcéj do napisania jak tylko wiek i nazwisko.

Kamieniarz wpatruje się przez chwilę w papier z pewnem wahaniem. Dombey nie zważając na to odchodzi ku drzwiom głównym. Ale w tem czuje że go ktoś z lekka ciągnie za jego płaszcz żałobny, mówiąc:

— Przepraszam pana, ale ponieważ ta robota ma być zaraz wykończona...

— Cóż więc z tego?

— Zatem może pan raczy odczytać jeszcze napis. Zdaje mi się że jest w nim pomyłka.

— Jaka?

Kamieniarz podaje Dombeyowi kartkę, wskazując mu słowa: „ukochane i jedyne dziecię."

— Zda mi się — powiada — że w miejscu dziecka, powinno być słowo: syn.

— Zapewne, masz pan słuszność; trzeba to poprawić.

To rzekłszy, ojciec spieszniejszym niż pierwéj krokiem zdąża do powozu. Zasiadłszy w nim, towarzyszący mu gentlemanowie po raz pierwszy widzą go zakrywającego sobie twarz połą od płaszcza. Przez resztę dnia Dombey nikomu się nie pokazuje. Wysiadł pierwéj z powozu i zaraz poszedł do siebie. Towarzysze zaś jego udają się na górę, gdzie w salonie czeka na nich pani Chick z panną Tox.

Podczas gdy ci państwo tam rozmawiają, co porabia ów człowiek zamknięty w dolnych pokojach? Gdzie dążą myśli jego? co czuje serce? jakich cierpień doznaje? Tego nikt prócz niego nie wie.

W kuchni tymczasem, na dole, jedno tylko panuje wrażenie; to jest, że dzień wydaje się być każdemu niedzielą. Wszyscy służący w domu tak święcie temu uwierzyli, że aż im dziwno widzieć na ulicy ruch i pracę dni powszednich. Każdy w najlepszem się czuje usposobieniu, rozdano bowiem hojnie wino całéj służbie, jakby w święto jakie. Od czasu do czasu wszelako, ktoś się odezwie z posępną jakąś uwagą. Stawiając szklankę, Towlinson powiada z westchnieniem:

— Niech nam Bóg raczy w chwili śmierci winy nasze przebaczyć.

Na co kucharka odpowiada z równie skruszoną miną:

— On jeden wie ile ma do przebaczenia.

Wieczorem pani Chick i panna Tox zasiadają do swych robótek jak codzień. Towlinson wychodzi na przechadzkę w towarzystwie młodszéj, która rada przewietrzyć swój nowy kapelusz żałobny. Ilekroć przechodzą jaką mniéj ludną ulicą, rozmowa ich przybiera zwroty wielce uczuciowe i wtedy Towlinson widzi siebie w myśli już nie lokajem, ale właścicielem sklepiku z owocami na Oxfordzkim rynku.

Następnéj nocy, wszyscy w domu Dombeya śpią tak smaczno i spokojnie, jak to już od dawna nie miało miejsca. Słońce poranne zbudza starą siedzibę wróconą do swego dawnego trybu życia. Rumiane dzieciaczki w przeciwległéj kamienicy, przebiegają ulicę goniąc za obręczami. W kościele gdzie się wczoraj odbywał pogrzeb, dziś wspaniały ślub jakiś się szykuje. Żona kuglarza obchodzi tłum z tacą w innéj miasta dzielnicy, a tymczasem kamieniarz pochylony nad marmurową płytą, gwiżdże sobie wykuwając na niéj imię: Paweł!

Jestże to rzeczą do uwierzenia, aby w owym świecie tak zapełnionym i zaprzątniętym, ubytek jednego małego dziecięcia sprawił próżnię tak rozległą i tak głęboką, że chyba wieczność zdoła ją zapełnić? Na to pytanie, rozżalone serce Florci mieściło w sobie odpowiedź.

— O bracie mój najdroższy, wołała ona w głębi duszy, bracie kochający, ty jedyny towarzyszu osamotniałych lat dziecinnych powiedz, jestże dla mnie inna pociecha w obec tego grobu tak przedwcześnie dla ciebie rozwartego, jak myśl o przyszłem życiu, która koi boleść, dając nadziei z łez wyrastać?

— Dziecię kochane, mówiła do Florci pani Chick w przekonaniu iż należy korzystać ze sposobności do zbawiennéj nauki, — gdy będziesz w moim wieku...

— W wieku który jest kwiatem życia — przerwała panna Tox.

— Wtedy, — ciągnęła daléj pani Chick, dziękując uściskiem ręki przyjaciołce za jéj uprzejmą uwagę, — zrozumiesz, że boleść na nic się nie przydaje i że jest obowiązkiem naszym ją pokonywać.

— Będę się o to starała, droga ciociu, odpowiedziała łkając Florcia. Doprawdy, robię co mogę.

— Cieszy mię to niewymownie, odparła pani Chick, bo nawet i kochana przyjaciołka nasza panna Tox, któréj światły sąd wysoko cenimy, uznaje ze mną...

— Ależ moja droga Luizo, przerwała wzmiankowana tak pochlebnie osoba, naprawdę uczynisz mię nadto zarozumiałą.

— Uznaje ze mną, przekonana własnem doświadczeniem, ciągnęła daléj pani Chick, że obowiązkiem jest naszym czynić we wszystkiem nieustanne wysiłki. Rzecz to konieczna w życiu. Jeśliby jaki.... Droga moja — dodała zwracając się do przyjaciołki, poddaj mi słowo, bom je zapomniała; jeśliby jaki od...

— Odmienny pogląd, szepnęła panna Tox.

— Nie, nie, całkiem co innego chciałam powiedzieć, zawołała pani Chick.

— Odwrotny stosunek, odezwała się nieśmiało usłużna przyjaciołka.

— Ależ Lukrecyo moja, cóż ty wygadujesz? A! odludek, otóż to właśnie czego szukałam. Odwrotny stosunek!... jestże w tem sens jakikolwiek? Mówię tedy, że jeśliby jaki odludek uczynił w mojéj obecności zapytanie: na co się rodzimy? Odpowiedziałabym na to, abyśmy czynili wysiłki.

— Wybornie powiedziano! zawołała panna Tox żywo zajęta nowością tego poglądu; — wybornie doprawdy!

— Na nieszczęście, ciągnęła daléj pani Chick, mamy we własnéj rodzinie przykład ku poparciu mego twierdzenia. Niepodobna tego nie uznać, drogie dziecię moje, że gdyby w danym razie.. pewna blizka nam osoba znalazła się była zdolną do wysiłku woli, cały szereg dalszych nieszczęść mógł nam być oszczędzonym. Nikt nie zdoła zachwiać we mnie tego przekonania — (tu głos pani Chick przybrał wyraz wielce stanowczy), że gdyby się ta poczciwa Fanny była na podobny wysiłek zdobyła, kochany nasz robaczek nie tyle wątłym byłby na świat przyszedł.

Wygłosiwszy to zdanie, pani Chick oddała się przez chwil kilka objawom żywéj boleści; wkrótce jednak, chcąc zapewne poprzeć własnym przykładem wypowiedzianą naukę, uspokoiła się i rzekła:

— Z tych więc powodów, proszę cię bardzo Florciu, abyś dowiodła, że posiadasz moc ducha, nie zwiększając dobrowolnie żalu w którym twój ojciec jest pogrążony.

— Droga ciociu, rzekła z wyrazem usilnéj prośby Florcia, klękając przed panią Chick, żeby módz lepiéj patrzeć jéj w oczy, mów mi jeszcze o ojcu. Błagam cię o to, mów mi o nim, bo czuję że serce jego musi pękać od cierpienia.

Panna Tox była w gruncie dobrą i czułą, zatem słowa sieroty wzruszyły ją do głębi duszy. Jakkolwiek być może iż nie zdawała sobie dokładnie sprawy z uczucia które je natchnęło, umiała w nich ocenić szlachetne zapomnienie o sobie, nie małe mające w podobnej chwili znaczenie. Wrażenie jakiego doznała tak było silnem, że pogłaskawszy Florcię po twarzy, musiała się odwrócić żeby ukryć łzy które roniła, nieczekając tą razą przykładu zwykłéj swej kierowniczki.

Nawet ta ostatnia utraciła chwilowo ową przytomność umysłu, z któréj tyle się chełpiła i popatrzała w milczeniu na tę piękną i młodą twarzyczkę, którą widywała tak długo nieustannie pochyloną nad łóżeczkiem Pawełka. Ale odzyskawszy niebawem mowę a z nią i to co miała za zimną krew godną podziwu, rzekła z powagą:

— Ojciec twój, kochana Florciu, nie tem jest czem inni ludzie; nie wypytuj mię o niego, bo nie potrafię dokładnie ci odpowiedzieć. Sądzę że posiadam więcéj wpływu nad nim niż ktokolwiek, wszelako przyznam ci, żem dziś zaledwie słów parę od niego usłyszała; z resztą bardzo krótko z nim się widziałam, a do tego ciemno było w jego pokoju. Pawle — powtarzałam mu po kilkakrotnie, czemu się nie chcesz czem posilić? Odpowiadał mi zawsze: Niczego nie potrzebuję, — proszę cię Luizo zostaw mię samego, tak mi jest lepiéj. To jego własne słowa, moja Lukrecyo, dodała zwracając się do panny Tox, mogłabym przysiądz że ani jednego wyrazu nie zmieniam.

— Jaką ona ma pamięć, ta droga Luiza, rzekła przyjaciołka z wyrazem szczerego podziwu.

— Widzisz tedy moje dziecię, mówiła daléj pani Chick do Florci, że nie rozmawiałam prawie dotąd z twoim ojcem. Powiedziałam mu tylko o listach które nadeszły od państwa Barnett Skettles; — bardzo uprzejme listy, naprawdę... Biedny nasz aniołek! pani Skettles kochała go jak.... ale gdzież się znowu podziała moja chustka?

Panna Tox podała jéj tymczasem swoją. Otarłszy oczy pani Chick rzekła do Florci?

— Otóż oboje ci państwo proszą koniecznie, abyś do nich przyjechała na czas jakiś dla rozerwania się nieco; mówiłam o tem twojemu ojcu i zapytałam czy się na to zgadza? Odpowiedział mi że i owszem.

Sierota wzniosła ku ciotce oczy łzami zalane.

— Wszelako, dodała pani Chick, jeślibyś wolała zostać tutaj, lub też wybrać się do mnie na czas jakiś,...

— O, wolałabym o wiele, zostać w domu droga ciociu, odpowiedziało dziewczę nieśmiało.

— W takim razie, stanie się według twego życzenia, rzekła pani Chick. Dziwny to wybór co prawda, aleś ty zawsze była trochę dziwaczną, moja Florciu.

Każda inna panienka twojego wieku, rada byłaby potem co tu zaszło.. — droga Lukrecyo, znowu gdzieś chustkę zarzuciłam... — rada byłaby jak powiadam, wyjechać z tego miejsca.

— Przykro by mi było, moja ciociu, wiedzieć że dom ten jest jakby opuszczony od wszystkich, wyobrazić sobie jego pokoje.. smutne i opustoszałe. Wolałabym tu pozostać na teraz... O mój bracie! zawołała, z wybuchem żalu niepodobnym do stłumienia, zakrywając twarz rękami.

Ale łzy przeciskały się pomiędzy jéj palcami i po nich spływały. Od czasu do czasu, to serce przepełnione żalem potrzebowało wydać z siebie nadmiar tłoczącego je bólu, by od niego nie pękło.

— Zgadzam się na twoje żądanie, dziecię moje, rzekła pani Chick po chwili milczenia. Wiesz dobrze, że nie chciałabym sprawić ci w czemkolwiek przykrości. Pozostaniesz więc w domu; nikt się temu z pewnością nie zechce sprzeciwiać.

Florcia potwierdziła to przypuszczenie smutnem skinieniem głowy.

— Wspomniałam twemu ojcu, ciągnęła daléj pani Chcik, że i dla niego byłaby na teraz dobrą zmiana miejsca. Odpowiedział mi że już o tem pomyślał i zamierza wyjechać z Londynu na czas jakiś. Sądzę że uczyni to wkrótce, zapewne skoro tylko załatwi niektóre interesa, które pozalegały przez te dni nieszczęśliwe... Lukrecyo, bądź tak dobra, pożycz mi jeszcze twéj chustki.... Otóż pewnie wyjedzie dopiero za dni kilka. Twój ojciec Florciu, to taki Dombey jakiego dotąd na świecie nie było, dodała pani Chick ocierając sobie starannie oczy dwoma przeciwnemi końcami chustki swéj przyjaciołki. Potrafi on zdobyć się na wysiłek woli, — nie mam w tym względzie żadnéj obawy.

— Ciociu, rzekła drżącym głosem Florcia, czy bym nie mogła dla niego uczynić cośkolwiek?

— Co ci też w głowie moje dziecko, przerwała jéj z żywością pani Chick, chyba nie znasz wcale ojca, że mię pytasz o coś podobnego. Czyż ci nie powtórzyłam co mi powiedział? Luizo, zostaw mię samego, lepiéj mi z tem. To jego własne wyrazy. Na cóżbyś mu się więc przydała? Ani mu się nawet pokazuj — nie radzę ci to.

— Usłucham cioci, a teraz pójdę już do siebie rzekła smutno Florcia.

Ciotka pożegnała ją pocałunkiem, panna Tox zaś poszła z nią na górę, niby dla poszukania zgubionéj chustki, w istocie zaś aby przytulić i popieścić trochę biedną sierotę, co nawiasem mówiąc, wywołało w Zuzi niemałe oburzenie. W żarliwości przywiązania swego do panienki, czarnooka pokojówka znieść nie mogła objawów współczucia panny Tox, którą zwykła była nazywać chytrym krokodylem. W téj chwili wszelako, współczucie owo było prawdopodobnie szczerem, a w każdym razie nie można mu było przynajmniéj odmówić zupełnéj bezinteresowności.

Czyż naprawdę nie miała już Florcia oprócz Zuzi nikogo,przy kim by mogła poszukać ulgi w swem cierpieniu? Czy nie było żadnéj innéj istoty od któréj miała prawo spodziewać się choćby politowania dla tak okropnéj boleści? Tak było jednak, — sierota została już samą jedną na świecie; śmierć brata tem żywiéj dała jéj uczuć co utraciła tracąc matkę, a któż powie ile w téj chwili dusza osamotniałego dziewczęcia potrzebowała jakiejkolwiek podpory i pomocy?

Gdy wszystko w domu powróciło do zwykłego trybu, i Florcia pozostała sama ze służącemi i z ojcem ciągle zamkniętym w swych pokojach, zrazu straszliwa potęga cierpienia owładnęła ją tak przemożnie, że nie umiała oderwać się ani na chwilę od dręczących ją wspomnień. Przez dni całe błąkała się spłakana po domu, a gdy cierpienie jéj stawało się nadto dotkliwem, uciekała do swego pokoju i tam kryjąc twarz w poduszki, tłumiła głośne łkanie, którem wybuchała boleść tak okropna, że zdawało się iż dziecię biedne nie wytrzyma. Owe przystępy rozpaczy, bywały najczęściéj wywoływane u Florci widokiem jakiego miejsca lub przedmiotu, do którego Pawełek miał upodobanie; ztąd w pierwszych chwilach każdy zakątek opustoszałego domu, nastręczał jéj coraz nowe męczarnie.

Żadne jednak wyższe i czyste uczucie, nie może gdy dłużéj w sercu zagości, trawić to serce niszczącym płomieniem. Ziemska tylko namiętność przynosi z sobą zabójcze żywioły, święty ogień z nieba zesłany równie jest zbawiennym dla duszy człowieka, jak nim był dla zebranych apostołów, gdy z woli Boga zstąpił na nich, aby każdemu ukazać w drugim brata, temże samem dobroczynnem światłem obdarzonego. Skoro więc z pośród zmąconych myśli Florci, spokojna i czule uśmiechnięta postać Pawełka zdołała się już wyraźniéj wykreślać, przyniosła niebawem z sobą osłodę i uspokojenie, i jakbądź żal siostry był zawsze jednakowy, stawał się on stopniowo łagodniejszym, a nawet z czasem poczęła znajdować w swych smutnych wspomnieniach coraz większe upodobanie.

Po dniach niewielu, mogła już patrzeć spokojnym wzrokiem, na złote fale igrające po dawnemu w pogodne letnie wieczory na ścianach pokoju Pawełka: często też przesiadywała tam samotna, ale równie łagodna i cierpliwa, jak gdy w temże samem miejscu czuwała przy łóżeczku chorego. Nieraz wprawdzie, na myśl że w tem łóżeczku nie ma już nikogo, serce jéj przejmowało się niewysłowioną boleścią, ale wtedy klękała przed owem opustoszałem posłaniem, i wylewając u stóp Boga nadmiar swojego żalu, błagała Go aby dozwolił temu, który już stał się jednym z jego aniołów, pamiętać w niebie o siostrze i tam kochać ją jeszcze.

Po pewnym czasie, słyszano nieraz wieczorem wśród ponuréj ciszy zaciemnionéj i milczącéj siedziby Dombeyów, czysty głos Florci nucący z cicha, powoli i jakby z przerwami starą piosnkę któréj Pawełek słuchał tyle razy, wsparłszy głowę na siostry ramieniu. Późniéj, gdy już mrok zapadał, dźwięki fortepianu odzywały się niekiedy przez chwil kilka, a dźwięki te i śpiew były tak łagodne że raczéj, zdawały się być echem tego co słyszano ostatniéj nocy w pokoju Pawełka, gdy poprosił siostry aby mu co zaśpiewała, niźli powtórzeniem tegoż samego śpiewu. Powtórzenie to miewało wszelako miejsce bardzo często wśród ciszy wieczoru, ale często też bywało, że zanim pieśń do końca doszła już słodki głos Florci we łzach się rozpływał.

Tak więc z czasem osamotniała siostra Pawełka, wyrobiła w sobie odwagę patrzenia spokojnie na robótkę, nad którą pracowała siadując z bratem po nad morzem, a nawet późniéj wróciła do niéj z zamiłowaniem, jak gdyby ów przedmiot miał poczucie tego, że go widywał kiedyś Pawełek. Nieraz także Florcia siedząc przy oknie w pokoju gdzie był portret jéj matki, dumała długiemi godzinami ani wiedząc o ich upływie.

Dla czegóż wtedy wzrok jéj zwracał się tak często ku domowi, za szybami którego uśmiechały się rumiane twarzyczki dziecięce? Nie przypominały jéj one w niczem brata, same tam bowiem były dziewczynki. Cztery ich było i podobnie jak Florcia nie miały już matki.... Ale pozostał im ojciec.

Łatwo się dawało rozpoznać, kiedy go w domu nie było i kiedy spodziewano się jego powrotu. Starsza z dziewczynek ubrana i całkiem już gotowa, czekała na niego na balkonie lub w oknie pierwszego piętra, a gdy go widziała nadchodzącego, wyraz żywéj radości zastępował niecierpliwość malującą się na jéj twarzyczce. Tymczasem mniejsze siostrzyczki, wypatrujące powrotu ojca z okien wyższego piętra, klaskały w ręce ujrzawszy go i radośnym krzykiem go witały. Starsza zbiegała do sieni biorąc ojca za rękę, wprowadzała go na schody; potem Florcia widywała ją siedzącą obok niego lub też na jego kolanach, szczebiocącą wesoło, z rękami oplecionemi w około jego szyi. A chociaż i on był zwykle wesół przy niéj, czasem patrzał na nią zamyślony jakby w niéj zmarłą matkę odnajdywał. W podobnych chwilach, Florcia nie miała siły na nich patrzeć, przejęta dziwnem uczuciem trwogi kryła twarz w firanki, potem śpiesznie odchodziła od okna. Niebawem jednak wracała do niego mimowoli i wkrótce robótka

z rąk jéj znowu wypadła i dumała zapatrzona w okna przeciwległéj kamienicy.

Dom ów stał przedtem dość długo pustkami. Wreszcie, właśnie podczas pobytu dzieci Dombeya w Brighton, zamieszkała tam owa rodzina. Za powrotem, Florcia zastała wszystko odświeżone i wymalowane, jednem słowem zmienione do nie poznania. Dom cały ożył na nowo, za przybyciem owego ojca i jego dzieci, w oknach widać było kwiaty i ptaszki i rozlegał się ztamtąd wesoły szczebiot ze śpiewem zmięszany.

Z okna Florcia widziała, jak po obiedzie ojciec szedł do dzieci pokoju i tam zasiadał z niemi i z nauczycielką około stołu. Kiedy powietrze było ciche, wesołe głosy dziewczynek i srebrne dźwięki ich śmiechu, przebiegając po przez ulicę poruszały echem powietrze samotnéj komnaty w któréj znajdowała się Florcia. Często także widywała jak dzieci biegały po schodach, lub też czepiając się kolan ojca, właziły na sofę na któréj siedział, słuchając jak się zdawało, jakiegoś opowiadania. Ale jeśli podczas zabawy wybiegły niekiedy na balkon, Florcia cofała się śpiesznie od okna, lękając się aby widok jéj żałobnych sukien i osamotnienia, przykrego na nich nie sprawił wrażenia.

Po odejściu młodszych siostr, najstarsza zostawała i wtedy mała owa gosposia przyrządzała mu herbatę z widocznem upodobaniem; potem rozmawiała z nim to siedząc przy stole, to patrząc przez okno, dopóki światła nie podano. Ojciec ów miałw córce towarzyszkę, jakkolwiek młodszą była od Flori o lat kilka; gdy przy nim zasiadła z książką lub robótką, wyglądała rozsądnie i poważnie jak dorosła osoba. Wieczorem, kiedy się już lampa paliła w pokoju, Florcia zaglądała tam śmieléj osłoniona ciemnością, ale skoro dziewczynka wstawała i powiedziawszy ojcu dobranoc odchodziła na spoczynek, dreszcz przebiegał członki sieroty i rozpacznie zakrywała rękami oczy łzami zalane.

Zanim się jednak Florcia położyła, nieraz jeszcze wejrzeniem wracała ku owemu sąsiedniemu domowi, nucąc piosnkę którą tyle razy brata usypiała, lub też wygrywając z cicha urywki ulubionego przezeń śpiewu. Wszystko jednak co tam zauważyła, równie jak i myśli zbudzone w niéj widokiem owéj rodziny, pozostało ukryte w głębiach jéj młodocianego serca.

Byłaż jeszcze inna jaka tajemnica w tem czystem dziecięcem sercu, którego szczerość odbijała się tak jasno w pięknych rysach Flori i w łagodnem brzmieniu jéj głosu? Tak jest — istniała w niem jeszcze jedna, którą się to serce z nikim nie dzieliło.

Kiedy późnym wieczorem wszystko już w domu ucichło i światła w nim pogaszono, Florciu wychodziła cichutko ze swego pokoju, zstępowała ostrożnie po schodach i szła w stronę pokoju ojca. Tam bez tchu prawie, z bijącem od bólu i trwogi sercem, pierała o drzwi głowę i namiętnie je całowała. Co noc tam powracała, co noc usiadłszy na zimnych kamieniach posadzki, słuchała długo odgłosu jego kroków lub oddechu, i w gorącem pragnieniu stania się jakąbądź ulgą, lub pociechą temu ojcu, którego była teraz jedynem dziecięciem, byłaby go na klęczkach prosiła aby jéj pozwolił wynurzyć mu swe uczucia, gdyby się tylko na to zdołała odważyć.

Nikt się w domu nie domyślał owych nocnych wycieczek sieroty. Drzwi Dombeya pozostawały ciągle zamknięte, on zaś prawie nie wychodził ze swego pokoju. Mówiono o bliskim jego wyjeździe gdzieś na wieś: tymczasem żył ciągle samotny, nie wiedział nawet że się z nim pod jednym dachem znajdowała.

Pewnego dnia, w tydzień może po pogrzebie. Pawełka, Znzia weszła pół śmiejąc się, pół płacząc do pokoju w którym Florcia była robótką zajęta i oznajmiła przybycie jakiegoś gościa.

— Gość? i to do mnie? któżby to był taki? spytała zdziwiona Florcia.

— A co? nieprawdaż że cud istny, moja panienko, zawołała Zuzia, ale co do mnie, radabym aby tu jak najwięcéj gości bywało; doprawdy lepiéj z tem byłoby panience. Jeżeli pojedziemy do tych starych Skettlów, obie na tem dobrze wyjdziemy, moja panno Floro. Nie żebym tam znowu za światem przepadała, ale też nie życzę sobie zasklepić się w samotności jak ostryga w swéj muszli.

Musimy tu wyznać, iż na ten raz panna Nipper miała daleko więcéj siebie niż swą młodą panią na myśli; sam wyraz jéj twarzy dostatecznie zresztą o tem świadczył.

— Ale cóż to za odwiedziny moja Zuziu? spytała znowu Florcia.

— To pan Toost, odpowiedziała pokojówka z nerwowym wybuchem równie podobnym do płaczu jak do śmiechu.

Uśmiech ożywiający w téj chwili twarz Florci, zniknął z niéj zaledwie to nazwisko usłyszała i oczy jéj zaszły łzami. W każdym razie, chwilowe to jéj rozweselenie nie mało już ucieszyło Zuzię.

— Kubek w kubek tak samo było ze mną; moja panno Floro, rzekła potrząsając głową i ocierając oczy fartuszkiem. Jakiem zobaczyła w sieni tego pociesznego dryblasa, to naprzód śmiechem parsknęłam, a potem zaraz się rozpłakałam.

To rzekłszy, Zuzia zaczęła znowu mimowoli to śmiać się, to płakać na przemian. W téj chwili Toots, który za nią wszedł był na schody i stojąc w sieni ani się domyślał jakie sprawił wrażenie, zastukał do drzwi i zaraz potem ukazał się na progu.

— Jak się miewa panna Dombey? rzekł z grzecznym ukłonem.

Poczem, nieczekając odpowiedzi, dodał:

— Uprzejmie dziękuję, mam się bardzo dobrze; a pani?

Toots najpoczciwszy chłopak w świecie, ale też nie najmędrszy, przygotował sobie wolnym czasem owo przyjaźne powitanie, mające na celu ulżenie sercu Florci a zarazem i swemu. Lękając się wszelako czy nie za wiele z nagromadzonego zasobu wydał z siebie na samem wejściu, uznał za stosowne rozpocząć rozmowę na nowo.

— Jak się pani miewa. Ja zdrów jestem, — dziękuję; — a pani?

Florcia podała mu rękę, mówiąc że się ma dosyć dobrze.

— I ja także — rzekł Toots siadając, zdrów jestem zupełnie. Nie przypominam sobie, dodał po chwili namysłu, abym był zdrowszym kiedykolwiek. Bardzo pani dziękuję.

(d. c. n.)

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dokończenie.)

Zaledwie dwadzieścia kroków dzieli nas od żołnierza. Idziemy ku niemu, trzymam ciągle fajeczkę w zębach, ale jakoś zapominam w téj chwili z niéj pociągać. Jedna tylko myśl zawładnęła mną wyłącznie: jak tu zrobić żeby wyglądać na rodzinę robotnika? Jak tu dokazać, żeby się we mnie ów Prusak nie domyślił byłego żuawa? Co prawda, nie była to chwila wielce miła. Mój przewodnik szedł sobie spokojnie pogwizdując; ja zaś wlokłem po błocie drewniane moje chodaki, przygarbiając się i kiwając, może trochę do zbytku. Dochodzimy wreszcie do żołnierza, on patrzy na nas i nie przerywa swojej przechadzki. Minęliśmy go bez szwanku!

— To nie koniec, rzecze do mnie mój towarzysz, gdyśmy nieco odeszli. Napotka się tu jeszcze nie jedno takie licho.

Słowa jego sprawdziły się niebawem. Zaledwie odeszliśmy o jakie kilkaset kroków, aż tu widać nadjeżdżający wózek jakiś, a w nim siedzącego oficera pruskiego. Na szczęście, mijając nas, ani nawet spojrzał w naszą stronę, bądź co bądź, rad byłem wielce gdy go z oczu straciłem.

Idziemy daléj, przyspieszając kroku. Drewniane moje chodaki nieco za ciężkie i gubię je nieraz po kolejach, ale cóż tu i porównywać tę małą niedogodność z męczarniami wczorajszego pochodu! Zapaliłem znowu fajkę i smakuje mi jak nigdy. Okolica wydaje mi się podobnież cudowną: drzewa mają prześliczną zieloność, strumienie wodę dziwnie czystą: wietrzyk wieje łagodny, nawet chwilowy deszczyk sprawia przyjemne wrażenie. Minąwszy parę wiosek, zaczynamy napotykać coraz częściéj, po ścieżkach śpieszących z koszami na plecach, francuzkich i belgijskich przemytników, korzystających z ogólnego zamięszania na rzecz swojego przemysłu. Głównie tytuń oni przenoszą. Idą żwawo i wesoło, znać że w tę porę ani im w głowie aby gdzie można było napotkać celnika. Czemuż byśmy także nie byli przemytnikami? Z ubrania i z postawy wyglądamy dosyć na to: jeśliby nas tedy kto po drodze zapytał dokąd idziemy, powiemy że się udajemy do Belgji po tytuń.

Po pewnym czasie, dopędził nas ten sam wózek którego napotkaliśmy poprzednio, ale na ten raz nie było już na nim Prusaka. Woźnica zgodził się powieźć nas aż do wsi do któréj wracał; daléj wypadło znowu iść pieszo. Zdążając o ile tylko można było pośpiesznie, dotarliśmy do Longuyon. Dochodząc do pierwszych domów wioski, przewodnik mój skręcił w bok i okrążając ją doszedł do ubogiéj chatki do któréj mię wprowadził. Zastaliśmy tam wieśniaka dawno mu znajomego, który miał nam dostarczyć potrzebnych rad i objaśnień co do dalszéj podróży. Znał on bowiem okolicę tak jak gdyby szczegółowy plan jéj zdejmował. Zrozumiałem do czego mu to służyło widząc w jego ręku dobrą strzelbę którą czyścił, a przy nogach psa legawego wygrzewającego się przed ogniem. Był to wyraźnie myśliwy, trudniący się przemysłem ukradkowego polowania.

Gdy mu towarzysz mój swą prośbę przedstawił, spojrzał na nas bystrym wzrokiem, potem rzekł:

— Rozumiem o co chodzi: chcecie dostać się do granicy, — wszak prawda? No, to wam wskażę najlepszą drogę.

To mówiąc, począł wybierać się co mu nie wiele czasu zajęło. Dla niepoznaki, wziął z sobą psa i strzelbę i ruszyliśmy razem polami. Nowy ów przewodnik doprowadził nas do skraju lasku, po pod którym widać było nieco daléj wioskę i tu nas pożegnał mówiąc:

— Jak tę wieś miniecie, natraficie niedługo na inną, nazwaną La Malmaison. Tam pytajcie o mieszkanie mera, poczciwy to człowiek, który z pewnością wam dopomoże.

Ruszyliśmy żwawo w dalszą drogę. Według zapewnień wieśniaka, za parę godzin mogliśmy przejść granicę i ta nadzieja sił nam dodawała.

Mer z Malmaison był to w istocie człowiek zacny i pełen dobréj woli. Wejrzenie którem mię powitał mieściło w sobie tyle współczucia, że po raz pierwszy od wyjścia mojego z Etain, odważyłem się zdjąć z głowy wyszarzaną moją czapkę futrzaną. Mer uśmiechnął się widząc ślady włosów podgolonych nad czołem.

— Aha! to żuaw! — rzekł półgłosem.

— Z trzeciego pułku, odpowiedziałem.

— A co tam z niego ocalało?

— Zebrałaby się z resztek może jedna kompania.

Westchnął, potem jakby odpędzając smutne myśli, rzekł:

— No, mówmy teraz o tobie, mój chłopcze... O czemuż nie można tak ocalić Francji jak ja ciebie ocalę!

Tymczasem przewodnik mój dotychczasowy, zasiadłszy na ławce w kącie, ocierał sobie czoło spoglądając na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć: zrobiłem swoje, teraz kolej na ciebie. Wyjąłem z trzosa ukrytego pod bluzą, dziesięć sztuk złota i włożyłem mu je w rękę. Przeliczył je starannie i wypiwszy kieliszek wina, którym go poczęstował gospodarz domu, pożegnał się ze mną. Odtąd bowiem, nowy przewodnik dany mi przez mera, miał kierować dalszą moją podróżą.

IX.

Był to chłopak zwinny i bystry, który szedł przez manowce szybko i na pewno jak zwierz leśny, nasłuchując i wypatrując bacznie w około siebie i korzystając z każdego krzaka, z każdego kawałka płotu, z każdego pagórka, aby niemi swe ruchy osłaniać.

— Nie dziw się pan żem tak ostrożny, rzekł do mnie, ale kręcą się tu temi dniami pruscy ułani a to bestyjstwo to ci zdmuchnie człowieka jak muchę, byleby go spostrzegło.

Szliśmy już czas jakiś ścieżkami wijącemi się pośród zarośli, kiedy w tem na skręcie wgłębionéj drożyny, towarzysz mój wskazał mi kijem bliski lasek przed ktorym stał słup drogowy. Przybita na nim czarna tablica nosiła napis, którego bielejące głoski wzrok mój uderzyły. Belgja! to Belgja! zawołałem biegnąc jak szalony ku słupowi. Chodaki moje zmieniły się w skrzydła.

— Tak jest, jużeśmy po za granicą; rzekł mój przewodnik dopędziwszy mię nad brzegiem lasku. Te dwie oto wioski należą jedna do Francji, druga do Belgji. Co najgorszego może panu teraz się przytrafić, to że napotkasz belgijski patrol, który cię odprowadzi do obozu pod Bewerloo. Ale nie lękaj się pan i tego, mam ja tu w pobliżu znajomego, który przez belgijskie posterunki tak pana przeprowadzi, jak gdybyś był muchą a nie człowiekiem.

Nieoceniony ów przyjaciel znalazł się w istocie w sąsiedniéj karczmie. Gdy się dowiedział o co chodziło, wziął rzecz całą najchętniéj, oświadczając że już ze dwudziestu Francuzów wydostał ze szpon pruskich i że przy Bożéj pomocy nie myśli na tem poprzestać. Wywiedziawszy się o wszystkiem co mnie dotyczyło, namówił mię abym się naprzód dobrze wyspał, zapowiadając że nazajutrz puścimy się wczesnym rankiem w drogę.

Nie wiem jak się to stało, ale widok łóżka z czystą pościelą dał mi znagła uczuć ilem był strudzony i niewyspany. Dotąd, nie było czasu o tem pomyśleć; obecnie wszystkie moje trudy i cierpienia przypominały mi się tem żywiéj w chwili, gdy doznawałem rozkoszy pierwszéj po nich wypoczynku.

Nazajutrz, gdy przewodnik mój przyszedł mię budzić, zdawało mi się żem tylko co się zdrzemnął.

— Dośpisz pan reszty inną razą, rzekł do mnie; teraz mamy zaledwie czas dojść w porę na stację kolei. Jestem leśniczym u hrabiego X. mam z sobą moje świadectwo, możemy więc zajść bez kłopotu choćby do saméj Brukselli.

Spotkaliśmy dosyć wojska po drodze; we wsiach było też pełno żołnierzy, ale nikt nas nie zaczepiał i dostaliśmy się szczęśliwie do stacji. Tam czekając na pociąg, zostałem ugoszczony jak najserdeczniéj przez poczciwych wieśniaków, mających domek w pobliżu. Dobrzy ci ludzie nie wiedzieli czem mię uczęstować; w oczach ich widziałem że się domyślają mego położenia, wszelako ostrożność nie dozwalała w tym razie zupełnych wynurzeń.

W chwili gdy wbiegłem na platformę, znagła mignęła przede mną twarz dobrze znajoma, któréj widok wzruszył mię do głębi. Tak — to był istotnie kolega z pułku, towarzysz z którym dzieliłem ów namiot gdzie mokliśmy tak dokładnie każdéj nocy w czasie pobytu w Glaires. Był także przebrany za robotnika, odzienie miał wynoszone, kapelusz filcowy wyszły z formy, spodnie całe w strzępach.

— A! toś i ty drapnął? rzekłem z cicha.

— No, tak. A ty dokąd ruszasz?

— Do Paryża. Czy i ty?

— A gdzieżby indziéj?

Siedliśmy do jednego wagonu, ale ponieważ był pełen, nie rozmawialiśmy więcéj z sobą.

Pociąg szedł do Namur. Po drodze, na jakimś przestanku napotkaliśmy transport pruskich rannych. Co za porządek! co za troskliwość! Wszystko tam zostało obmyślone w celu zapewnienia jak największéj wygody tym nieszczęśliwym. Nie leżeli oni jak u nas na słomie, w wagonach dla bydląt przeznaczonych, ale mieli dogodne hamaki pozawieszane tak, aby żadne wstrząśnienie czuć się im nie dawało. Pociąg miał z sobą kuchnie, zapasy żywności i lekarstw, zioła, szarpie, a do tego podostatkiem lekarzy, chirurgów i posługaczy. Patrząc na to jakże bolesne czyniłem porównania!

Przybywszy do Namur, rozstałem się zaraz z moim kolegą, było to bezpieczniejszem dla nas obudwu. Na platformie, mnóstwo było osób, głównie kobiet przybyłych z miasta dla niesienia pomocy nieszczęśliwym, których każdy pociąg przywoził podostatkiem. Jakże straszliwe nędze przedstawiały się ich oczom! Niektórzy z pomiędzy tych francuzkich żołnierzy, niedawno temu tak zuchwało i wesoło wyglądających, padali od głodu i od znużenia. Wysiadłszy z wagonów, kładli się na ławkach, nie mogąc iść daléj, lub wlekli się ociężałym krokiem chwiejąc się na nogach. Pewną ich część zabrano do sąsiednich koszar, ale tam pozostali już jeńcami. Co do mnie, postanowiłem dać sobie radę nie żądając od nikogo pomocy, zatem nie tracąc czasu, zabrałem się do odejścia w stronę miasta. Wszelako pani jakaś, bardzo wytwornie ubrana, widząc że mocno kulałem, zbliżyła się ku mnie i spytała, czy nie chcę żeby mi nogę opatrzyła.

— Dziękuję, odpowiedziałem, nie jestem raniony.

Poszła kilka kroków za mną i chciała wsunąć mi w rękę pieniądze na chleb i na tytuń, ale prosiłem aby je zachowała dla potrzebniejszych. Spojrzała nieco zdziwiona na moje nędzne ubranie, ale więcéj nie nalegała.

W pobliżu znajdował się hotel. Skierowałem się ku niemu i zażądałem pokoju od stojącego we drzwiach szwajcara. Przybrał postawę wielce pogardliwą i odrzekł wspaniale:

— Nie przyjmujemy tu włóczęgów na mieszkanie.

Krew zawrzała we mnie: już się zabierałem do dania zuchwalcowi należytéj odpowiedzi, ale znagła przypomniałem, że nie była to chwila do zrobienia awantury i przemógłszy gniew mój, odszedłem nie rzekłszy ani słowa. Zdawało mi się że żyję jakby we śnie, sam nie wiedziałem co było w koło mnie jawą, a co przywidzeniem.

Z Namur, nie trudno mi było dostać się do Brukselli. Tam, zaledwie wysiadłszy z wagonu, udałem się do krawca, a potem już przyzwoicie przyodziany, poszukałem mieszkania francuzkiego konsula.

Zostałem od niego przyjęty jak nauprzejmiéj. Co prawda, zaraz na wstępie upewniłem go, że wcale pieniężnéj pomocy nie potrzebuję.

— Chcesz pan tedy wrócić do Francji? spytał mię, wpisując potrzebne wyrazy pomiędzy drukowane litery arkusza, który miał przed sobą.

— Radbym w jednéj godzinie tam stanąć.

Zażądał odemnie słowa honoru, że należałem istotnie do trzeciego pułku żuawów, potem oddał mi paszport.

Tego samego dnia puściłem się w drogę. Dziwnym trafem, na pierwszéj stacji francuzkiéj na któréj pociąg się zatrzymał, znowu napotkałem kolegę z pułku. Tą razą był to oficer, ale w téj chwili niedola porównała wszystkie stopnie. Uściskaliśmy się ze łzami w oczach, ileż mieliśmy do opowiedzenia sobie! Nieraz w ciągu podróży, po ożywionéj rozmowie wpadaliśmy w długie zamyślenie, wzrok nasz błąkał się z tęschną rozkoszą po tych płaszczyznach Flandryi, które w téj chwili wydawały nam się najpiękniejszą krainą na świecie, bo były ziemią ojczystą, tem droższą że ją dotknęła niedola.

Zanim dosięgliśmy kresu podróży, czekała nas jeszcze chwila przykréj niepewności. Pociąg zatrzymał się dosyć długo w Creil, wieść rozeszła się była że kolej została daléj przerwaną. Pomiędzy podróżnemi powstał niesłychany popłoch: radzono pomiędzy sobą co daléj począć. Co do mnie, najsmutniejsze wrażenia napełniały moją duszę. Być tak blisko upragnionego celu, módz jutro mieć znowu broń w ręku, módz rozpocząć na nowo walkę, w lepszych może tą razą warunkach i tymczasem zawrócić się od bram Paryża, by powędrować ku jakiéj niemieckiéj fortecy! Na szczęście, obawy te niedługo potrwały. Z jakąż uciechą posłyszeliśmy świst lokomotywy, zapowiadający bliski wyjazd. Z pewnością, najpiękniejsza muzyka nie pieściła nigdy rozkoszniéj moich uszu.

O drugiéj po północy, pociąg wszedł do Paryża. Ten tylko co przebywał koleje podobne tym przez które przechodziłem od dwóch miesięcy, potrafi zrozumieć wrażenie, jakie mogą obudzić w duszy długie szeregi milczących domów, wynurzających się z pośród nocnéj pomroki. Widok ten zatrzymywał oddech w mojéj piersi, serce przerywanem biciem uderzało.... Byłem w Paryżu!

Działo się to 14 września, w kilka dni potem stolica była już otoczoną i rozpoczynało się oblężenie.

KONIEC.

Dalszy ciąg opisu N. 3.

N. 12. Pelerynka stembnowana i objęta puszkiem łabędzia. Biała atłasowa watowana i podszyta kaszmirem pelerynka, cała w kratkę pikowana w maszynie, kraje się podług zwykłéj chusteczkowéj formy, z tem nadmienieniem, że przy wszystkich watowanych okrywkach, szew na ramieniu powinien być cokolwiek zaokrąglony, ażeby lepiéj przystawał do figury. Końce mogą być przykrojone osobno i pod kokardą przyczepione.

N. 13. Suknia ze stanikiem pod szyję i z baskiną. Suknia jedwabna w białe i niebieskie paski, oszyta jest plisami z gładkiéj nieco ciemniejszéj materji, na których pracowita ręka dodać może drobny rzucik białym jedwabiem. Szerokie białe koronki o wiele podnoszą piękność i strojność sukni. Układ garnirunku i forma baskiny widoczna jest na rycinie 13. Tunika przybrana być powinna tak jak stanik i baskina, a spódnica może być z materji w paski lub gładkiéj. Zwrócimy jeszcze uwagę na strojne zakończenie rękawów, składające się z dużéj bufy z białego jedwabnego tiulu i dwóch falban koronkowych.

N. 14 — 15. Torebka do robót. Dzierganie na płótnie. Materjał: płótno żółtawe écru, kordonek i jedwab w tymże kolorze, kawałek kolorowéj materji 45 c. długi, 135 cent. wstążki 2 i pół cent. i 80 na 1 cent. szerokiéj, w tem co materja kolorze.

Na jasno brązowéj materji, dany jest haft w rodzaju gipiury, odrobiony ściegiem dzierganym, kordonkiem i cienkim jedwabiem, na płótnie żółtawym czyli écru. Cokolwiek większa połowa deseniu naturalnéj wielkości podana jest pod N. 15. Wszystkie kontury wywieść trzeba jedwabiem i dziergać kordonkiem grubym, żyłki zaś, kratki i łączenia odrabiać jedwabiem cienkim. Dwa oddzielne kawałki materji, 25 cent. długie a 17 cent. szerokie, połączone są u dołu i z boków bufką marszczoną, mającą 4 i pół cent. szerokości. Obrąb 4 cent. szeroki przeszyty od dołu do nawleczenia wstążeczki, stanowi górną falbankę woreczka. Kokardy z szerszéj wstążki zdobią końce nawleczenia i boki woreczka.

Obróciwszy deseń podany na woreczek szerszym końcem do góry, mieć będziemy piękny wzór na lambrekinę który odrobić można na suknie w dwóch cieniach, kaszmirze lub aksamicie.

N. 16. Neseserka do robót. Materjał: pudełeczko z szufladką mające 7 i pół cent. długości, 4½ szerokości, a 2 i pół cent. wysokości; kawałek czarnéj i żółtéj skórzanéj kanwy, zielony ryps albo materja, zielona filozela, kawałek białéj flaneli, czarny guziczek, elastyka, tektura i gumma.

Podstawę neseserki stanowi proste wysuwane pudełeczko, do którego wierzchu przyszywa się woreczek wełniany lub jedwabny, mający 10 cent. wysokości a 24 cen. obwodu, u góry zakończony obrębem 2 i pół cen. szerokim, przeszytym do nawleczenia sznureczka do ściągania. Książeczka do igieł dodaje się pod spodem pudełeczka, w tym celu przykrawa się kawałek tektury i kawałek żółtéj skórzanéj kanwy takiéj wielkości jak dno pudełka, kanwę odzierguje się z brzegów zielonym kordonkiem, przyczepia jednym z podłużnych brzegów do wstążeczki 1 cent. szerokiéj, do drugiego brzegu tejże, przykleja się także w podłuż tekturę w ten sposób, ażeby owa wstążeczka stanowiła jakby grzbiet książeczki, do którego przyszywa się kordonkiem zielonym kartki z flaneli, służące do wsadzania igieł. Tak urządzona książeczka przyczepia się pod spodem neseserki w ten sposób, iż by ją można było roztwierać i rozkładać dowolnie, oraz zamykać na elastykę. Boki pudełeczka oklejone są paskami żółtéj kanwy skórzanéj, odzierganemi zielonym kordonkiem, które nieco w górze na woreczek zachodzą. Rzucik na nich stanowią drobne gwiazdki z czarnéj kanwy wycięte i filozelą zieloną, luźnym ściegiem przyszyte.

N. 17 — 18. Koszyczek do robót na postumencie z lambrekiną. Materjał: sukno białe, pąsowe i jasno szafirowe, kordonek pąsowy, zielony, szafirowy, żółty i paljowy; jedwabna torsada w odpowiednie kolory przerabiana pół cent. szeroka, perełki złote, stalowe i czarne, wstążka niebieska w mantynie 2 cent. szeroka.

Na postumencie 85 cent. wysokim, odrobionym z wyginanych prętów żółtéj i czarnéj trzciny, przymocowany jest w górze duży koszyczek z przykryciem piramidalnem; u dołu zaś drugi mniejszy bez przykrycia, przeznaczony na skrawki lub kłębuszki, obadwa plecione z żółtéj trzciny. Ten ostatni pozostawiony bez żadnych ozdób, pierwszy zaś cały pokryty lambrekinami. Wielkość, deseń i sposób wyszycia tych ostatnich, dokładnie przedstawia N. 18. Jak widziemy lambrekiny składają się z oddzielnych kawałków na przemian dawanego sukna, pąsowego lub karmazynowego, białego i szafirowego, które połączone sposobem na wzorze wskazanym, wyszywają się torsadą i kordonkami w kolorach tureckich, mięszając między karmazynowe zielone i szafirowe dużo koloru złotego i paljowego. Osiem takich lambrekin potrzeba do otoczenia koszyczka, chcąc jednak ażeby schodziły się u dołu i mogły być zakończone kwastem, z różnokolorowych kordonków lub strzępków mięszanego sukna, trzeba do powyższego wzoru dodać jeszcze kawałki białego sukna 11 cent. długie, w górze podług lambrekiny dopasowane, a u dołu śpiczasto ścięte. Lambrekiny zdobiące przykrycie koszyczka mają 15 cent. długości 9 cent. szerokości u dołu, są także z trzech kolorów sukna ułożone, w tureckim guście haftowane, a w górze śpiczasto zakończone, dochodzą prawie do wierzchołka przykrycia. Riusza z jasno szafirowéj wstążki, otacza w górze koszyczek i przykrywę. Łańcuchy z ogniw trzcinowych zawieszone są w festony w koło postumentu. Duże ruchome ucho uplecione z trzciny służy do przenoszenia koszyczka.



N. 1 i 2 Szlafroczek. Krój w dodatku N. 1 fig. 1—9.

N. 19—20. Owal haftowany na płótnie ściegiem dzierganym. Ryc. 20 podaje w naturalnéj wielkości, cokolwiek więcéj jak czwartą część deseniu na owal, który do rozmaitych użytków służyć może. Wyhaftowany na szarym płótnie i podłożony kolorową podszewką, zdobić może dno lub przykrycie do koszyczka. Z dodaniem odpowiednich narożników mieć będziemy ładną serwetkę na podłużny stoliczek. Połowa owalu posłuży jako deseń na lambrekinę, do narożnych półeczek lub małego stoliczka z przyrządami do cygar i t. p. Do dziergania używa się grubszego, do kratek cieńszego kordonkowego jedwabiu, w tem co płótno kolorze.

Koronkowa biała tasiemeczka delikatnie wszyta w koło pomiędzy deseń środkowy a ząbki brzeżne, bardzo przyozdabia robotę. Niepotrzebujemy dodawać że deseń ten służyć może do haftu na kaszmirze lub suknie.

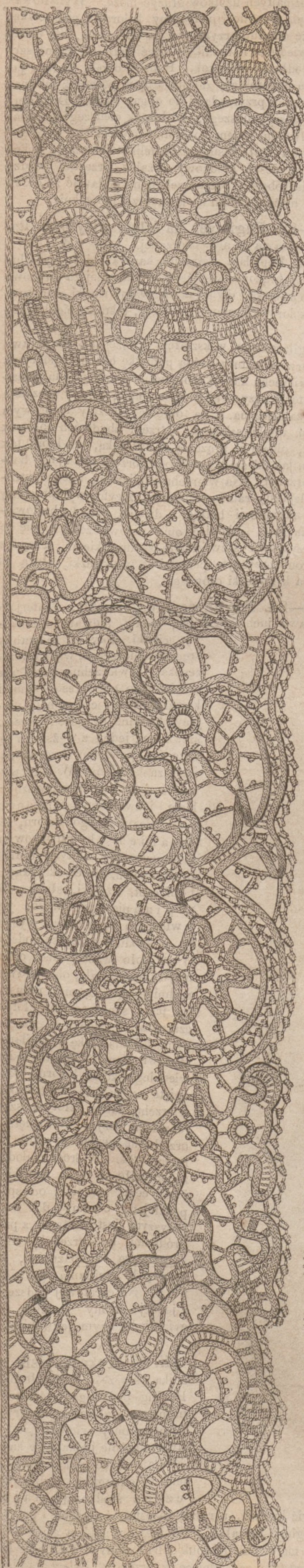
N. 21—22. Pugilares na bilety wizytowe. Robota fantazyjna na kanwie skórzanéj.

Materjał: Popielata skórzana kanwa, biały ryps lub mora, jasno brązowa wstążeczka, ciemniejsza brązowa skórzana bordiurka, dwie takież owalne ramki, kordonek i jedwab kolorowy, sznureczek złoty, tektura, cienki ołówek.

Na pugilares ten w kształcie książeczki, przykrawa się najpierw z tektury każdą połówkę osobno i pokrywa się ją z wierechu kanwą skórzaną, od środka białą materją na któréj przyszyta jest kieszonka, u góry szezokim obrębem zakończona. Na obrębie wyszyty kolorowym jedwabiem wązki szlaczek. Brzegi obydwóch połówek książeczki, objęte są brązową wstążeczką, na którą tak z wierzchu jak od środka zachodzą brzegi naklejonéj bordiurki skórzanéj. Na wierzchu pugilaresu, z jeduej strony przykleja się ramkę skórzaną, z cyfrą wyhaftowaną kolorami na materji białéj, z drugiéj gałązkę haftowanych kwiatów. Nakoniec obie połowy zeszywa się ze sobą i przykrywa szew złotym sznureczkiem. Trzy z lewéj strony przyszyte pentelki ze wstążeczki, służą do zamykania książeczki ołówkiem.

N. 23—24. Pugilares kieszonkowy. Materjał-Czerwonawa juchtowa skóra, cerata, jedwab kordonkowy, cienki złoty i jedwabny kręcony sznureczek, wązka wstążeczka. Zwierzchnią część nie rozcinanego pugilaresu, stanowi kawałek skóry czerwonéj, mający 15 cent. długości, 9 cent. szerokości, jeden z węższych jej brzegów powinien być w rogach zaokrąglony. W koło wyszywa się na niéj szlaczek sznurkiem jedwabnym okręcanym, nieco ciemniejszego koloru, jedwabiem kordonkowym i sznureczkiem złotym czarno przetykanym. Pasek skórzany 1 i pół cent. szeroki, służący do zapinania pugilaresu, jest z wierzchu kordonkiem wyszyty, od spodu wstążeczką podszyty i w koło wązką nieco ciemniejszą wstążeczką objęty. Wierzchni brzeg wstążeczki przyszyty jest sznureczkiem złotym, czarnym kordonkiem okręcanym. Podszewkę pugilaresu stanowi cienka cerata odpowiedniego skórze koloru, brzegi objęte są w koło wstążeczką z wierzchu także złotym sznureczkiem oszytą. Wewnętrzne urządzenie widać wyraźnie na rycinie 24. W środku dodane zwierciadło 9 cent. wysokie 4 i pół cent. szerokie, od spodu podklejone ceratą, do któréj przyszyta jest listewka z przegródkami na grzebyk, małą szczoteczkę do paznokci, maszynkę do zapinania rękawiczek i t. p. Na ceratowéj podszewce z jednéj strony wyszyta jest cyfra kolorowym jedwabiem.

N. 25. Teka do pism. Mozajka z szyszek i nasion leśnych. Podług podanego wzoru trzeba najpierw wykroić z tektury tekę potrzebnéj wielkości, to jest dwa zupełnie jednakowe kawałki stanowiące tylną ścianę. Potem z jednego z nich wykroić część środkową mającą stanowić kieszeń, a resztę pozostawić na ramę i przykleić do drugiego kawałka. Na kieszeni nakleja się w środku piękne malowanie lub bukiet haftowany w formie medaljona; pozostałe zaś miejsce z brzegów, okleja się ciemno





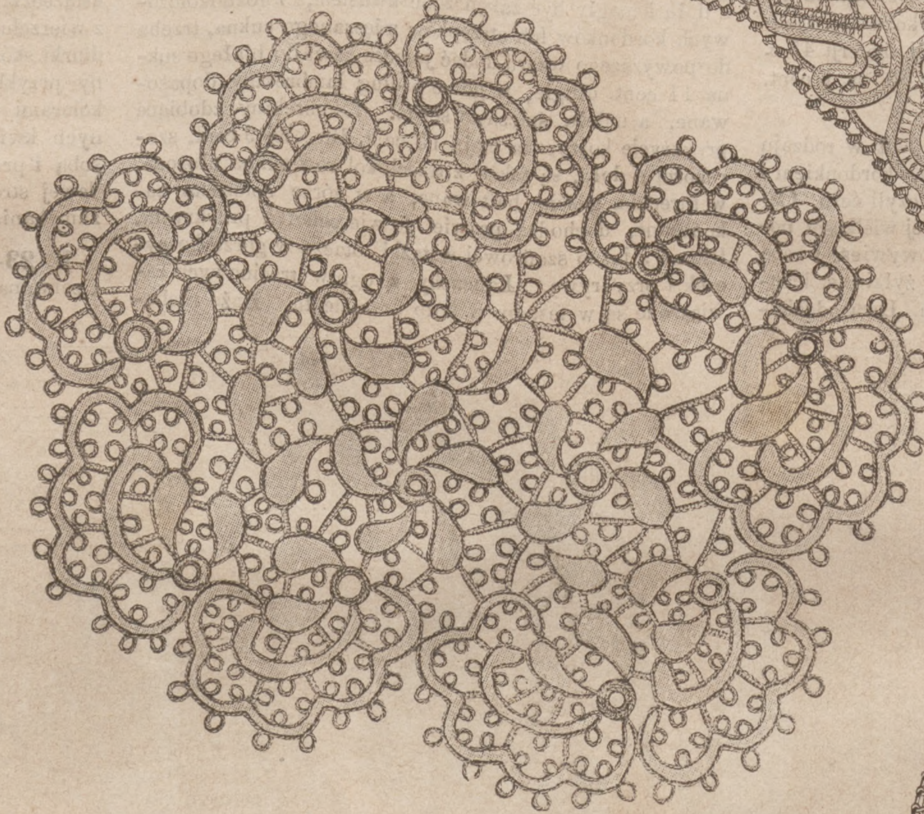
N. 3 Połowa kołnierzyka marynarskiego. Rycina 4 i 5 garnirunek do rękawka.



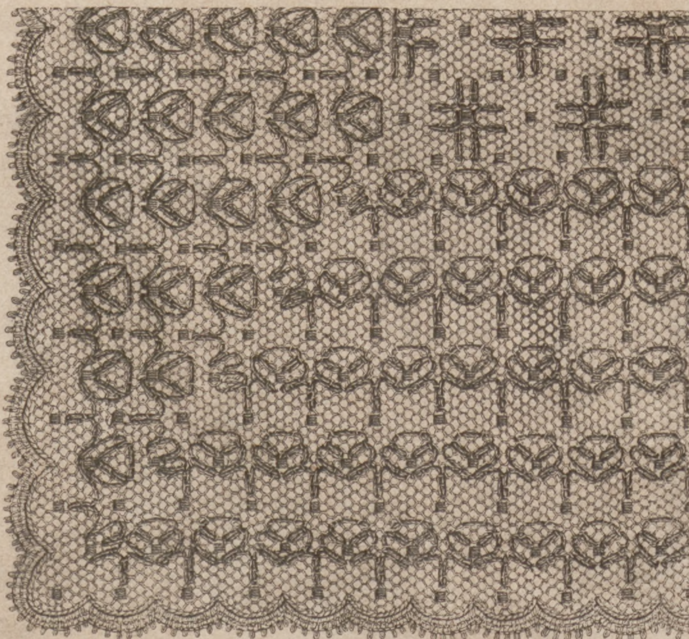
N. 7. Wykonanie haftu do ryciny 6.



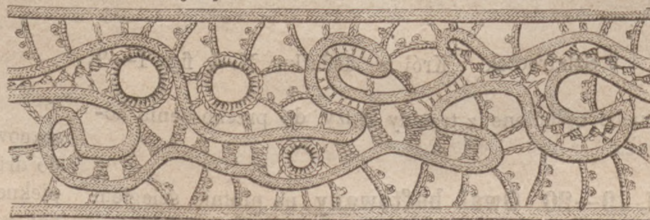
N: 10. Wykonanie wyszycia na tiulu do ryc. 9.

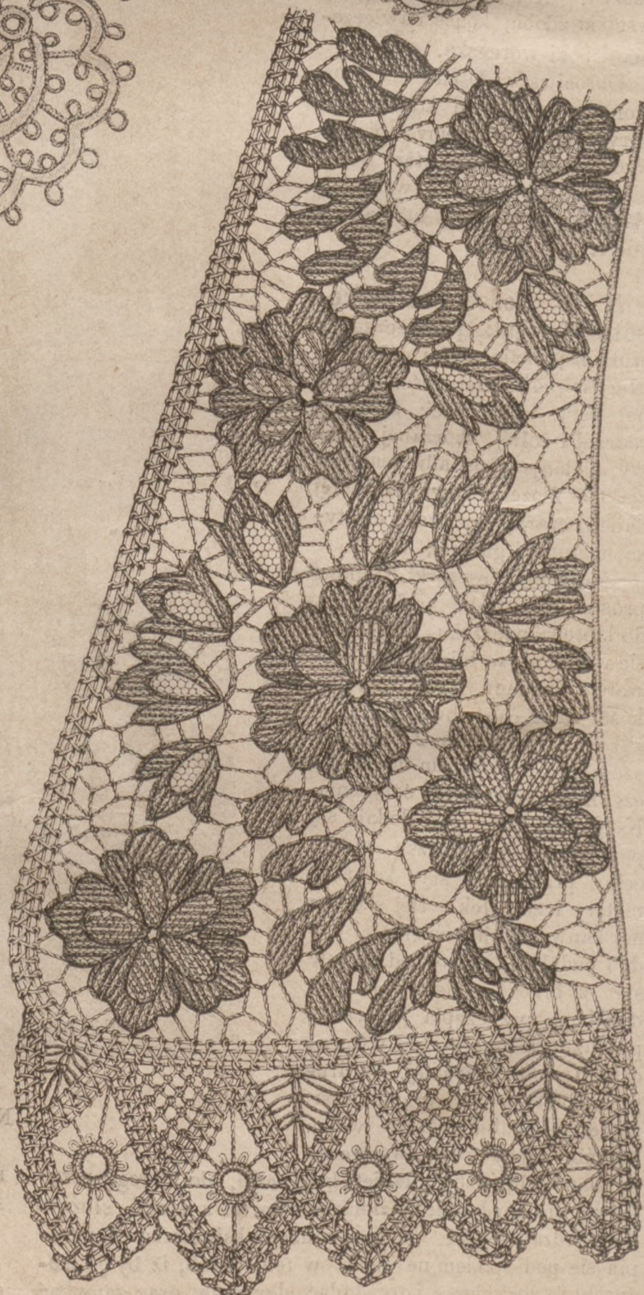


N. 6. Haft na batyście do krawatki rycina 30 w Tyg. Mód N. 5.



N. 8 Wyszycie tiulu na szlak do chustki od nosa.





N. 4. Garnirunek do rękawka koronka irladzka. Zobacz rycinę 3 i 5.

N. 5. Wstawka do garnirunku rękawa. Zobacz ryci. 3 i 4.

N. 9. Wyszycie na tiulu i ścieg koronkowy na kołnierzyki, rękawki itd.

orzechową bibułką, równie jak i ramę przy tylnéj ścianie. Do układania mozajki zamiast listków szyszek jodłowych lepiéj wziąść sosnowych, które z powodu swéj formy i ciemniejszych obwódek piękniéj wyglądają. Tak odłamane pojedyncze listki jak i nasiona jodły i sosny, drobne żołędzie i kotki leszczyny, potrzebne do układania deseni, trzeba najpierw wymyć czysto szczoteczką, potem namoczyć w wodzie, a gdy trochę zmiękną, przyszywać do bibułki jedwabiem orzechowym, tak iżby tworzyły harmonijną całość, a listki z brzegów układane były równo i więcej jak na pół cent. nie występowały za ramę. Ma się rozumieć że przed ułożeniem mozajki, kieszeń musi być przyklejona i gdzie niegdzie nieznacznie przyszyta do tylnéj ściany; boczne składane suflety, są dodane z materji lub papieru. Wnętrze teki wykleja się glansowanym papierem. Po wykończeniu można mozajkę pociągnąć werniksem.

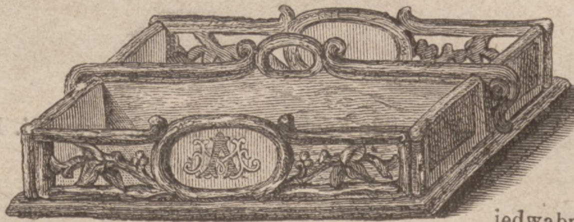


N. 12. Kamasz dla dziecka krój N. XVII fig. 56.





N. 11. Czapka podróżna dla mężczyzn. Krój w dodatku N. XXI Fig 61 i 62.



N. 26 — 27. Krawatka z koronki irlandzkiéj, Nowość stanowi cieniutka ażurowa plecioneczka użyta do tego kołnierzyka. Czytelniczkom które zajmują się odrabianiem koronkowych kołnierzyków, żabotów i t. p. łatwo będzie wykonać i tę krawatkę, gdyż spojenia i kratki między konturami deseniu, dokładnie wskazują ryciny 26 i 27. Całość krawatki ułożyć można podług zmniejszonego formatu na rycinie 33, gdzie krawatka jest zapięta na szyi.

N. 28. Wstawka z plecioneczki. Wstawka ta odrobiona z tasiemeczki płaskiéj w ząbki, może służyć do przyozdobienia różnych przedmiotów bielizny. Nie dodając ząbków brzeżnych z jednéj strony otrzyma się bardzo gustowny szlaczek do oszycia karczków do koszul. Ząbki brzeżne od deseniu środkowego oddziela ładny pleciony sutasz.



N. 18. Kamasz męzki do polowania. Robota szydełkowa i na drutach.

N. 29. Rozeta do wycierania piór. Do okrągłego denka z tektury mającego 5 cent. średnicy, przyszywa się w kontrafałdy ułożony kawałek pąsowego sukna 5 c. szeroki, 55 cent. długi. Na nim w drugim rzędzie dany jest sukno białe, takiéj saméj długości lecz tylko 4 cent. szerokie, brzeg obydwóch jest w ząbki wycięty w maszynie, a prócz tego na białem wyhaftowany rzucik niebieski i czarny z obwódką maisową i trzema przewlekanemi ściegami. Właściwy przyrząd do ocierania piór stanowi rozeta z czarnego sukna w środku umieszczona. Układa ją się ściśle i przyszywa rząd za rzędem z paska czarnego sukna, w równych odstępach na głębokość 2 cent. nacinanego.



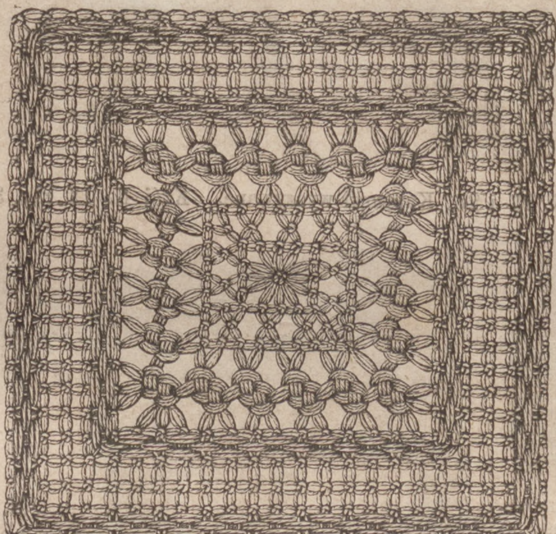
N. 15. Ścieg szydełkowy do napierśnika ryc. 15 w N. 5 Tyg. Mód.

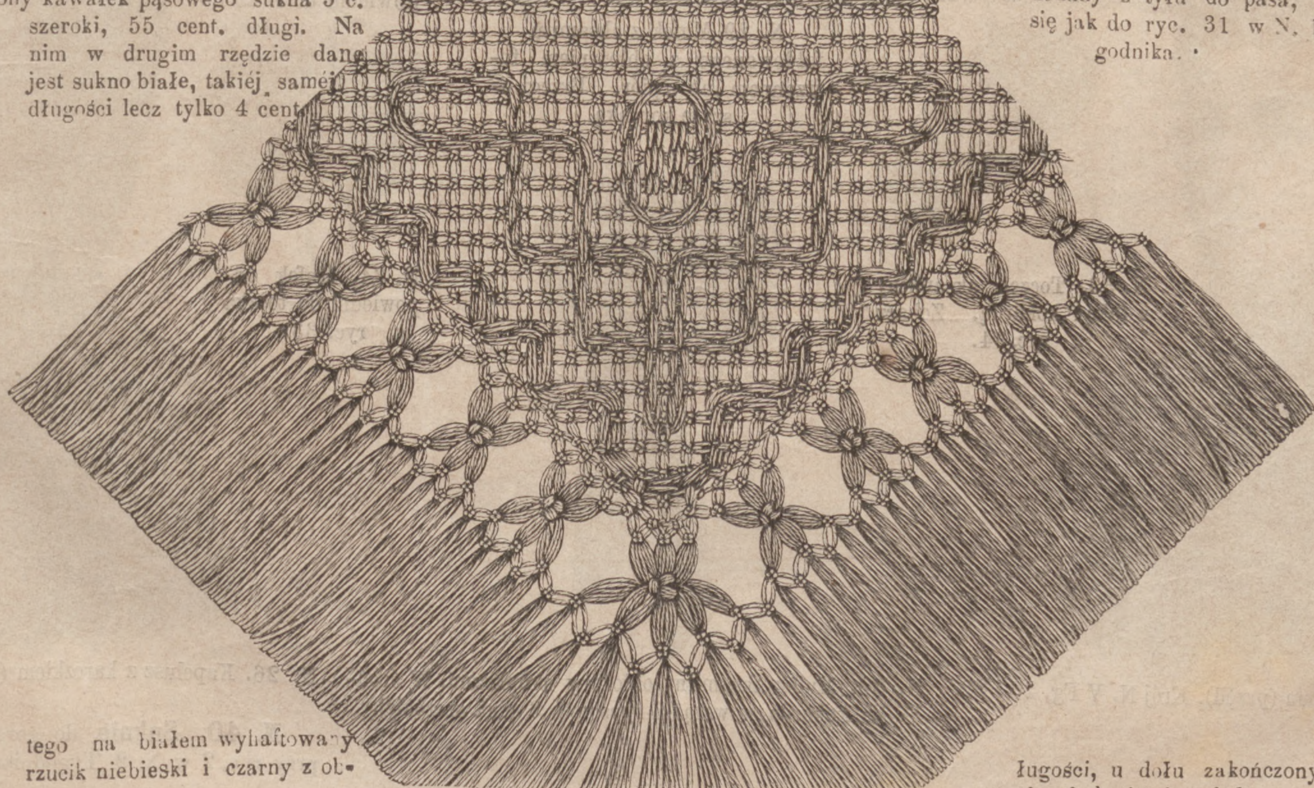


N. 14. Ścieg do kamasza ryc. 13.



N. 16. Torba myśliwska. Zobacz ryc. 17.





N. 17. Robota wiązana do torby myśliwskiéj. Zobacz ryc. 16.

N. 30. Kostium z „vêtement“ i wązkiemi rękawami zwany: „Satanella.“ Kostium ten z wyrobu wełnianego, w kolorze mieniącym czarno z popielatym, składa się ze spódnicy niedotykającéj ziemi i vêtement, otwieranego z przodu, z krótkim karczkiem przy pasku. Garnirunek stanowią skośne plisy 5 i pół i 4 cent. szerokie, wyszyte czarnym sznurkiem jedwabnym, i frendzla wełniana mięszana, w kolorze czarnym i popielatym. Nadgłówek nad plisami układa się z paska, 2 cent. szerokiego, w dwie fałdki poprzeczne w odstępie 2 cent. dawane w jedną stronę, których brzegi ściąga się i zeszywa w ten sposób, iż fałdki tworzą rodzaj ząbków czyli pukielków.

Przy wykroju stanika, naszywa się plisę z tyłu w kształcie kołnierza, z przodu w kształcie szelek.



N. 13. Kamasz na drutach robiony. Zobacz ryc. 14.

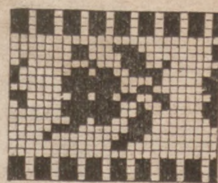
N. 31. Kostium „Rosella.“ Vêtement z rękawami szerokiemi.

Spódnica u dołu zakończona plisowaniem w ciemniejszym odcieniu mającem 24 cent. szerokości, na które zachodzi 8 cent. szeroka, odstająca plisa (na podszewce ze sztywnego muślinu) w górze ciemniejszą wypustką przyszyta, u dołu w okrągłe zęby wycięta i ciemniejszą pliską objęta, nad pliską dane wyszycie z jedwabnego sznurka. Druga taka plisa naszyta wyżéj na spódnicy. „Vêtement“ z tyłu podpinane, z brzegów w zęby wycięte jest u dołu i na szerokich rękawach plisowaniem oszyte. Pod stanik do wcięcia w pasie dana flanelowa podszewka. Przody stanika mają wykrój szalowy w zęby wycięty, pod który dodane od spodu osobne kawałki, nakształt kamizelki na guziczki zapinane.

Kołnierzyk stojący ciemniejszego koloru. Karoczek dodany z tyłu do pasa, kraje się jak do ryc. 31 w N. 1 Tygodnika.



N, 19. Sakiewka szydełkowa. Zobacz ryc. 20 i 21



N. 20. Deseń na szlak do sakiewki, ryc. 19.

N. 32. Fartuszek. Fartusze złożony z trzech oddzielnych części mających 65 cen[t. d]ługości, u dołu zakończonych [z]ębami, kraje się z jednego bry-



N. 21. Ścieg szydełkowy do sakiewki ryc. 19.

ta materji łokciowéj szerokości. Złożywszy materją przez środek, kraje się brycik środkowy, na 10 cent. od dołu skośnie ku górze ścięty, boczne części obracają się szerszemi końcami do dołu i przyszywają brzegiem prostym do środka. Każda część zakończona jest zębem okrągło śpiczastym, mającym 14 cent. głębokości. Garnirunek stanowią pliski aksamitne, 2 cent. szerokie, podwójną rypsową wypustką zakończone, brzegiem dodana koronka 4 centym. szeroka.

N. 33. Siatka z grubego kordonku. Rycina 33 przedstawia wzór czesania do którego włosy podwija się w siatkę grubą koloru włosów i krawatkę z koronki irlandzkiéj. Siatka jaką tu widziemy powszechnie teraz używana.

N. 34. Kokarda do kołnierzyka i do włosów. Rycina wskazuje sposób przypięcia do głowy kokardy, ułożonéj na sztywnym tiulu z koronki 6 cent. szerokiéj i kolorowéj wstążki. Frendzla 9 cent. szeroka siepana ze wstążki kolorowéj przyszyta jest do dolnego rzędu koronki ufałdowanéj na sposób wachlarza. Przy stojącym kołnierzyku dodana kokarda tego co przy włosach układu.



N. 23. Kapturek dla małéj dziewczynki (tył). Krój N. VII fig. 25.

N. 22. Kapturek dla małéj dziewczynki. Krój w dodatku N. VII fig. 25.

N. 35. Suknia strojna dla młodych osób. Bardzo świeżo i powabnie wygląda suknia z białéj alpagi, wyszyta sznurem niebieskim jedwabnym i przystrojona niebieską wstążką.

Cztery skośne falbany 8 cent. szerokie, wązko obrębione, na przyszyciu i u dołu niebieskim sznurem oszyte, przyszywają się do spódnicy sposobem wskazanym na rycinie. Tiunika równa formą spódniczki, podpina się z boków wstążkami. Na gładkim staniku zapinanym pod szyję, dodane szelki sznurem wyszyte. Rękawy od góry gładkie, od łokcia bufą i falbaną zakończone.

N. 36—38. Woreczek na robotę drutową. Woreczek ten odrabia się ze skośnego kawałka materji, przeplisowanego w fałdy poprzeczne. Nowość w przystrojeniu stanowi piękny sznur, odrobiony szydełkiem, na modelu woreczek odszyty jest z kawałka materj. niebieskiéj 50 cent. szerokiéj, a sznura robiony szydełkiem od niebieskiego kordonku, na cienkim sznureczku stanowiącym podstawę. Układ deseniu wiązanego ze sznura wskazuje rycina 37, zaś N. 38 podaje guziczek, przyozdobiony węzłem sznurowym.

Węzły przewleczone dwoma rzędami brzeżnemi, wskazane na rycinie 37, odrabiają się szydełkiem, każdy osobno. Pojedynczy węzeł składa się z 61 o. pow. w które obrabia się oczka ściśle poddając w środek sznureczek. Po odrobieniu potrzebuéj liczby o. śc. sznureczek się odcina, a szydełkowy sznur zakończa i przewiązuje w węzeł. Po nawleczeniu na sznury boczne, węzły przysuwa się ściśle do siebie, spaja od spodu i przytwierdza do bocznych sznurów.

N. 24. Kapturek dla małéj dziewczynki. Krój N. VI. fig 23 i 24.



N. 27 i 28. Kapturki wyszywane. Krój N. IX. Fig. 32.

N. 39. Suknia ze stanikiem podszyję i rękawami w bufki. Do gładkiego stanika, zapinanego pod szyję, dodana w koło gładka 4 cent. szeroka osobna baskina zachodząca na spódnicę, którą wyszywa się grubym kręconym sznurem oszywa sutą jedwabną frendzlą lub koronką. Bufki na rękawach układa się na gładkiéj podszewce. Tunikę wybrać można z podanych tylokrotnie form, w przeszłych numerach.

Garnirunek stanowi frendzla lub koronka, wyszycie z krętego jedwabnego sznura i wązkie pliski w tem co suknia i jaśniejszym kolorze, z wypustkami ciemniejszemi, układane na przemian sposobem na rycinie wskazanym.



N. 31 Toczek aksamitny obłożony futrem do ryc. 29 i 30.



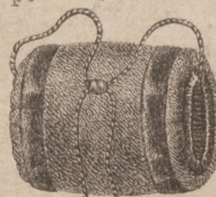
N. 29 Mufek z aksamitu fałdowanego z obłożeniem futrzannem lub z piór. Brzegi oszyte koronką.



N. 30 Kołnierz odpowiedni do r. 29 i 31.



N. 33. Toczek aksamitny z takąż kokardą. Zobacz ryc. 34.



N. 34. Mufek odpowiedni do toczka ryc. 33.



N. 25. Kaptur z karczkiem (przód). Krój N. V Fg. 20 i 22.



N. 32. Mufek aksamitny obłożony skunksami. W środku kokarda ze wstążki rypsowéj 8 cent. szerokiéj.



N. 26. Kapelusz z karczkiem (tył) krój N. V. fig 20—22.

N. 40. Suknia do gorsu podług opisu podanego przy ryc. 2 w N. 2 Tygodnika.